

odgłosy



7 (743)
13. II. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Fot. G. Iwczenko

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Tramontana (Korespondencja z Jugosławii)

Zaraz po miękkim lądowaniu w Belgradzie usłyszałem klezmerski gwizd i wpadłem w ramiona saksofonisty który wracał akurat do kraju, uginając się, jak targowy osioł, pod ciężarem zakupów.

W godzinę później na lotnisku w Titogradzie zagroził mi drogę basista o wejściu zranionego ptaka. Poszliśmy, jasna sprawa, do bufetu i wypiliśmy kawę, z tym, że to on płacił — nie ja.

Tego samego dnia na dworcu autobusowym w Budwie podał mi rękę warszawski perkusista, grający niegdyś w zespole nieodżałowanego Rocha Zbójewskiego. Chwila wspomnień, minuta ciszy i nagle muzyk przestroił się na ton pogodniejszy, dokonując jak gdyby próby mikrofónów.

— Już fedruję tu, panie szefie, trzy miesiące — powiedział ekliwym szeptem Słowianina, któremu zaschło w gardle. — Stęskniłem się, panie szefie, za tą naszą ukochaną starą Pragą... No, wiesz pan, Zabkowska róg Targowej... I ta mowa... Zbliżyłeś się do mnie ludu chrześcijański, żeby za jedyne fałszywe dwie dychy nabył ten przeszłyżny szkaplerz pański...

Kiedy zagorzały miłośnik warszawskiego folkloru pożegłował wreszcie w swoją stronę, chowając twarz w cieniu pod murami, miałem przykre wrażenie, że w tym momencie kończy się seria moich zderzeń z polskim klezmerstwem.

Ale wszystko, co najlepsze, było jeszcze przede mną.

Wieczorem poszedłem na zwiady, zahaczając o taras nadmorskiego hotelu. Ponieważ nie byłem obeznany z cenami, zrezygnowałem na wszelki wypadek — i słuszniej — z miej-

scą przy stoliku. Podparłem plecami kiczowatą palmę — karlatkę (wyczuwasz tę cholerną egzotykę?) i patrzyłem przez tłum na orkiestrę w nienagannie skrojonych garniturach (wyczuwasz ten styl!), która szykowała się do występu.

Zauważyłem, że jeden z gitarzystów jest beczelnie podobny do Zbyszka Horydy, a drugi, długowłosy, podłączający się właśnie do wzmacniacza — mógł uchodzić z powodzeniem za pana Stysiaka. O ile człowiek obsługujący elektryczne organy niewątpliwie miał w sobie coś z Włodzimierza Rucza, o tyle tenorzysta do złudzenia imitował młodszego Sadowskiego, co to rok temu się ożenił i zaraz wyjechał. Ale serce ścisnęło mi się dopiero wtedy, gdy zobaczyłem parkera. Facet ten pojawił się dość niespodziewanie — jakby trochę z boku, gdzieś zza węgła — i usiadł przy bębnie, na którym pisało wielkimi literami QUINTON, a na obliczu jawiła mu się (temu facetowi) niewysłowiona łagodność i spryt (zrobił do mnie oko), czyli te same pomieszane cnoty, jakimi odznaczał się dawno temu Jurjek Topolnicki, objeżdżający wraz ze mną odkrytym samochodem prowincjonalne estrady.

Nie będę was, wzorem dziesiętnastowiecznych mistrzów, trzymał w niepewności. QUINTON zapowiedział się w pięciu obcych językach, ale jako zespół polski. Ta pani, co pięknie z nimi śpiewała, nosiła rewolwerowy pseudonim: Anna Niko, lecz również przyjechała do Jugosławii wprost z czynszowej kamienicy przy ul. Piotrkowskiej.

Dalszy ciąg na str. 3

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

PO OWOCACH POZNACIE JE

Zjazdy delegatów Związku Literatów Polskich nie przynoszą na ogół przelotów w samej literaturze. Pewien wyjątek mógłby od błędy stanowić sławny Zjazd Szczeciński, mało wszakże chwalebny, jak każda próba narzucania sposobu widzenia świata. Od zjazdów nie należy oczekiwać, że spowodują lawiny znakomitych książek, rozwiją talenty, ujawnią nowe, interesujące tendencje literackie.

Cóż tedy daloby się powiedzieć na gorąco o XVIII Zjeździe Delegatów ZLP, który zakończył niedawno swoje obrady w Łodzi? Wywołał on duże zainteresowanie, to prawda. Kibice krążyli wytrwale wokół sali obrad, weszono niezwykle sensacje, zapowiadane przez radio Wolna Europa. Nie się wszakże niezwykle nie

stało, nikt nikomu nie wymyślał, powodów do plotek z dreszczykiem bardzo mało. Był to bowiem Zjazd poważny, z troską o rzeczywistą konsolidację w samym Związku Literatów Polskich. Myślę, że nie, bez znaczenia był tu wybór Łodzi na gospodarza Zjazdu. Nasze miasto, tak bardzo pod wieloma względami zaniedbane, odnawia się, przebudowuje, chce i będzie lepiej wypełniać swoje funkcje w stosunku do pracującego człowieka. Atmosfera odnowy, tak bardzo w Łodzi widoczna, zaznaczyła się również podczas obrad, mówił o niej co drugi dyskutant, jeśli się nie mylę. Nowo wybrane władze związku także tę odnowę symbolizują. Element ciągłości skrzyżował się z elementem nowości, do zarządu weszli również i ci pisarze, którzy w ostatnich latach, jak to się pięknie utarło mówić —

stał na uboczu. Czy będziemy mieli w rezultacie układ harmonijny, zgrany — trudno powiedzieć. Należy wierzyć w to nowe skrzyżowanie postaw ludzi znanych przecież z doskonałych książek i należy pamiętać o biblijnym porzekadle — po owocach ich poznacie je.

Myślę też, że uczestnicy Zjazdu wykazali wiele rzetelnej troski o losy polskiej książki. I słuszniej, w końcu dzieje pisarza, to dzieje jego książek i jego czytelnika. Stąd też tak wiele mówiono o polityce nakładowej, bardzo niekiedy wadliwej w naszym kraju, a także o polityce wznowień. Wypowiedź ministra kultury i sztuki w tym zakresie była i owszem — dość obiecująca. Powinniśmy mieć więcej papieru, a i zapewne — uregulują się wreszcie stosunki pomiędzy wydawcami i drukarniami. W końcu to przecież prawda, że czytelnicy daremnie czekają, czy też latami czekają na wznowiecie nie tylko popularnego klasyka, ale przede wszystkim popularnego pisarza współczesnego.

U nas, na dobrą sprawę, trudno mówić o samodzielnym zawołaniu pisarza. Około 80 procent ludzi pióra musi pracować w rozmaitych instytucjach, a to znaczy tyle, że pisanie, ciężka praca nad tekstem to coś w rodzaju hobby. Stąd niebagatelne kwestie poruszone podczas obrad — prawa do trzymiesięcznego urlopu dla pisarza, aby mógł on spokojnie pracować nad książką, czy sprawa zmiany konwencji, dość smętnej jak dotąd, czy sprawa sposobu wynagradzania pisarza za jego trud.

Ta kategoria spraw, odpowiadająca robczemu charakterowi Zjazdu, ma być w najbliższym czasie krok po kroku rozwiązywana. Wiąże się ona w moim przekonaniu z inną grupą spraw. Od czasów Biernata z Lublina, a może jeszcze wcześniejszych, pisarz pracuje na własny wyłączenie rachunek, brakuje mu normalnych dla naszego społeczeństwa praw, choć nie brakuje obowiązków. Chodzi o ubezpieczenie na wypadek choroby, prawo do normalnego wypoczynku, przyznawane każdemu, kto pracuje, czy prawo do godziwej emerytury, kiedy kończy się okres możliwości twórczych. I pod tym względem sytuacja ma się zmienić w sposób radykalny.

Zwracano uwagę na normalne potrzeby rozwojowe poszczególnych, pozastolecznych środowisk literackich. I chyba słuszniej. Niezależnie od naturalnego prymatu stolicy trzeba skutecznie wyposażać poza warszawskie ośrodki literackie, stwarzać im w miarę możliwości warunki należytego funkcjonowania. To sprawa pism, w innych przypadkach — wydawnictw, rzetelnej opieki ze strony władz.

Myślę wreszcie, że łódzki Zjazd Delegatów ZLP stanowił także bardzo interesującą okazję do zetknięcia się blisko 200 pisarzy ze środowiskami robotniczymi Łodzi i Ziemi Łódzkiej. Mamy tu w środowisku Polski dobrą publiczność literacką, chłonną i ciekawą, pracującą uczciwie i umiejącą uczciwie trud pisarski ocenić. Tę właśnie konfrontację z odbiorcą, mądrym i niezapętlonym, bardzo sobie życząscy pisarze cenili.



Spośród wydarzeń międzynarodowych ostatniego okresu — najwięcej zainteresowania wzbudziły dwie wizyty: prezydenta Sadata w Moskwie i min. Gromyki w Tokio. Im też w komentarzach prasy światowej poświęca się wiele uwagi.

Wspólny komunikat radziecko-egipski, opublikowany po rozmowach moskiewskich stwierdza przede wszystkim, że tradycyjna przyjaźń i współpraca rozwijają się bez zakłóceń i umacniają w duchu układu, zawartego między oboma krajami. Skonstatowanie tych faktów jest szczególnie ważne właśnie teraz, kiedy na Zachodzie różne koła polityczne rozpowszechniają pogłoski jakoby w stanowiskach tych krajów pojawiły się różnice co do perspektyw i możliwości rozwiązania konfliktu arabsko-izraelskiego. Zaprzeczając temu stanowczo dalszą część komunikatu, a m. in. następujące sformułowanie: „STRONA RADZIECKA POZYTYWNE OCENIŁA ZDECYDOWANĄ POSTAWĘ EGIPITU W OB- LICZU PROWOKACJI IMPERIALIZMU I SYJONIZMU I STWIERDZIŁA, ŻE TA POSTAWA ZNAJDUJE UZNANIE WSZYSTKICH MILIJĄCYCH POKÓJ PANTW I NARODÓW NA CAŁYM ŚWIECIE”. Komunikat odnotowuje następnie zadowolenie obu stron z przebiegu debaty bliskowschodniej na XXIV sesji ONZ. Przyjęta w grudniu ub. roku rezolucja jest sukcesem konsekwentnej i aktywnej polityki zagranicznej Egiptu i jego przyjaciół i świadczy o tym, że, znowu zacytujmy: „IZRAEL POPADA W CORAZ WIĘKSZĄ IZOLACJĘ NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ”.

Nowe skomplikowanie sytuacji, jakie wynika głównie z rozszerzenia dostaw amerykańskiej broni dla Izraela, wymaga, aby specjalny wysłannik ONZ — amb. Jarring natychmiast wznowił konsultacje z zainteresowanymi stronami. Jego misją powinna doprowadzić do podpisania sprawiedliwego traktatu pokojowego, który zapewni wycofanie wojsk izraelskich z okupowanych terytoriów arabskich oraz zabezpieczy prawa i interesy wszystkich państw i narodów tego rejonu, a w tym także narodu Palestyny.

Równocześnie, właśnie z uwagi na obecną sytuację, obie strony ponownie omówiły środki, które umożliwią ochronę słusznych praw i interesów narodów arabskich oraz sposoby udzielenia pomocy ERA w celu wzmocnienia obronności Egiptu.

Komunikat wspomina również o tym, że sekretarz generalny KPZR — Leonid Breżniew zaproszony został do Egiptu z oficjalną wizytą.

Komentując rozmowy moskiewskie egipski „Al-Ahram” pisał, że były one najważniejszymi, do jakich kiedykolwiek dochodziło między przywódcami obu krajów.*) Zaufanie Egiptu do ZSRR — czytamy tamże — wypływa z całkowitego poparcia, jakiego Związek Radziecki udziela naszemu krajowi oraz ze wspólnego celu Arabów i Rosjan, którym jest likwidacja spisku imperialistycznego. Bliski Wschód jest przecież regionem ważnym z politycznego, gospodarczego i wojskowego punktu widzenia, jest „teatrem konfrontacji”.

Na temat moskiewskiej podróży Sadata wypowiedział się również izraelski minister spraw zagranicznych — Eban, stwierdzając, iż będzie ona miała „bezpośredni i natychmiastowy wpływ” na sytuację bliskowschodnią.

Sekretarz stanu — Rogers zareagował na komunikat oświadczeniem, że USA zaproponują wznowienie swojej mediacji w sprawie pośrednich rozmów na temat otwarcia Kanału Sueskiego i będą nadal popierać misję Jarringa. Jego zdaniem, można by równolegle kontynuować te dwie próby uregulowania konfliktu.

Druga wizyta, wcześniejsza w czasie, min. Gromyki w Japonii nadal pozostaje w orbicie zainteresowania. Niektórzy łączą ją z podróżą prez. Nixona do Pekinu, inni — z gotowością Związku Radzieckiego znacznego rozszerzenia stosunków handlowych. Wszyscy przypominają radziecką propozycję w sprawie zawarcia traktatu pokojowego między oboma krajami oraz wspólnie uzgodnienie, że jeszcze w bieżącym roku rozpoczną się rokowania na ten temat. Jest to najważniejszy rezultat tokijskich rozmów, wydarzenie, które może mieć duże polityczne następstwa.

Ministrowie Gromyko i Fukuuda wymieniali poglądy na szeroki krąg zagadnień międzynarodowych, kładąc szczególny akcent na konieczność przywrócenia pokoju w Indochinach i uregulowania konfliktu bliskowschodniego na podstawie znanej rezolucji Rady Bezpieczeństwa.

— Rozmówcy — podkreślają niektórzy komentatorzy — nie ograniczyli się do problemów bilateralnych, ich zainteresowania były szersze. Czy zwiastuje to aktywniejsze włączenie się Tokio do polityki światowej?

I jeszcze kilkanaście słów o tzw. nowym planie pokojowym Nixona wobec Indochin. Plan ten zawarty jest w ośmiu punktach. Prezydent obiecuje w nim całkowite wycofanie wojsk amerykańskich w ciągu 6 miesięcy od osiągnięcia porozumienia i przeprowadzenie w całym południowym Wietnamie nowych wyborów. Propozycje Nixona nie unoszą nic istotnego do stanowiska Waszyngtonu i, jak powszechnie się stwierdza, obliczone są nie na uregulowanie konfliktu, lecz uśmierzenie krytyków jego polityki przed nadchodzącymi wyborami prezydenckimi. I utracone dlatego nadano im w prasie amerykańskiej bardzo szeroki rozgłos.

W. SŁAWSKI

*) Przypomnijmy, że dla Sadata, od czasu objęcia prezydentury w październiku 1970 r., była to już trzecia podróż do ZSRR.

CHINY

W sieci intryg

„HINDUSTAN TIMES” — DELHI

Co by się nie stało z Lin Piao — czy zlikwidowano go fizycznie, czy też aresztowano — nie ulega wątpliwości, iż od tej chwili ten 64-letni zastępca przewodniczącego KPCh, wyznaczony na zjeździe partyjnym w 1969 roku na następcę Mao Tse-tunga, stał się politycznym trupem. Znikł działacz, który zrobił zawrotną karierę w okresie „rewolucji kulturalnej”, a którą Mao „uszcześliwił” Chińczyków.

Lin Piao faktycznie kierował tzw. „grupą do spraw rewolucji kulturalnej”. Los tej grupy, składającej się z osiemnastu ludzi, jest dość interesujący. Weszli do niej, obok innych działaczy, faworyt Mao — Czen Bo-da, żona Mao — Cziang Czing oraz zięć Mao — Jao Wen-juan ze swym nieodłącznym towarzyszem Czan Czun-ciao. Później przyłączył się do nich Kan Szen.

W styczniu 1967 roku, równo pół roku po utworzeniu tej grupy, ośmiu jej członków — spośród osiemnastu — padło ofiarą czystki. W większości byli to prowincjonalni przywódcy partyjni, nie we wszystkim zgadzający się z Lin Piao. Trzej byli związani z armią. Po zniknięciu tych ludzi, wierne Lin Piao wojska coraz bardziej zaczęły atakować „małych generałów” Mao. W niektórych prowincjach, podobnie jak to było już niegdyś, znów zaczęły powstawać swego rodzaju udzielne księstwa. Większość osób, które w owym czasie zajmowały wysokie stanowiska, było ludźmi Lin Piao.

Typowe zdarzenie miało miejsce w Uchani, gdzie Lin Piao po rozprawieniu się z marszałkiem Che Lunem, wyznaczył na stanowisko dowódcy okręgu wojskowego Czen Tsan-dao. Ten ostatni rozpoczął kampanię przeciwko „kulturalnym rewolucjonistom”. Gdy władze pekińskie zwróciły mu delikatnie uwagę, że wobec kulturalnych rewolucjonistów nie należy uciekać się do przemocy fizycznej, Czen Tsan-dao nie przyjął tego do wiadomości. Jak się wydaje nie wzbudziło to niepokoju Lin Piao. Jednakże Mao i jego żona byli tym przerażeni. Aby wziąć w karby Czena, do Uchani skierowano wysoko postawionych członków „grupy do spraw rewolucji kulturalnej” — Wan Li i Se Fuczi. Czen aresztował emisariuszy i, być może, zostałby rozstrzelany, gdyby ich nie uwolnił Czou En-lai, który niezwłocznie przyłączył samolotem do Uchani. Przerzucone tutaj oddziały wojsk regularnych stłumiły bunt.

Był to pierwszy cios, który Czou En-lai zadał Lin Piao. Wprawdzie Wan Li stał się bezpośrednią przyczyną upadku Czen Tsan-dao, ale wkrótce po powrocie z Uchani sam z kolei stał się ofiarą permanentnej czystki. Było to policzkiem dla Czou, ale, jak zwykle, upokorzenie zniósł w milczeniu. W ślad za Wan Li poszli i inni działacze polityczni, podejrzani o wierność Czou En-lajowi. W ten sposób spośród 18 ludzi, którzy pierwsi utworzyli „grupę do spraw rewolucji kulturalnej”, do marca 1968 roku pozostało zaledwie pięciu: Czen Bo-da, Cziang Czing, Kan-Szen, Jao Wen-juan i Czan Czun-ciao. Byli oni ludźmi samego Mao.

Wszystko to jednak nie przeszkadzało Lin Piao w korzystaniu z pełnej swobody działania niemal do końca 1969 roku. Osiągnął wiele. Wskutek jego nacisków, historia rewolucji kulturalnej

została okiełznana przez „komitety rewolucyjne”, utworzone we wszystkich prowincjach. Na czele komitetów stali niezmiennie przedstawiciele armii. Powołując na stanowisko szefa sztabu generalnego Czuan Jun-szena, Lin Piao kontrolował nie tylko siły zbrojne, ale i „komitety rewolucyjne” na południu i w innych rejonach kraju.

Odbywający się w kwietniu 1969 roku IX Zjazd KPCh został zwołany, zgodnie z zamierzeniem Lin Piao, aby zalegalizować jego wysoką pozycję w partii, równą pozycji samego przewodniczącego, zatwierdzić plan przebudowy partii pod ścisłą kontrolą armii, podporządkować siłom zbrojnym radę państwową oraz przygotować grunt do wyniesienia go na stanowisko głowy państwa. Wydawało się, iż w kwietniu 1969 roku Lin Piao osiągnął szczyt swej kariery.

Stronników Mao i Czou En-lai ogarnęło przerażenie. Zaraz po zakończeniu zjazdu zaczęli knuć spiski, tym razem przeciwko Lin Piao. Rozpoczęła się zacięta walka pomiędzy Lin Piao a Czou En-lajem, który wystąpił w roli obrońcy niedołęznego przewodniczącego Mao. We wrześniu 1970 roku Lin Piao potrafił usunąć z areny politycznej Czen Boda, oskarżając go o „oszustwo polityczne”. W listopadzie został również odsunięty od władzy Kan Szen. Ale Czou En-lai oddał cios. W grudniu, jako chodzą słuchy, został zamordowany niezastąpiony sojusznik Lin Piao — Tan Fu-zen, polityczny komisarz okręgu wojskowego w Kuangsi. Przeciwno szefowi sztabu generalnego — Chuan Ju-szenowi, również stronnikowi Lin Piao, wystąpił dowódca nankińskiego okręgu wojskowego Sju Szi-ju. Rozgniewany Lin Piao wydał zarządzenie, by w prasie, która w owym czasie była całkowicie oczyszczona z ludzi Czou En-lai, nie zamieszczać żadnych wzmianek o dniu urodzin Mao, przypadających 26 grudnia 1970 roku.

Grudzień był bodaj ostatnim miesiącem realnej władzy Lin Piao w Pekinie. Wiele zmieniło się w początkach stycznia 1971 roku. Spod kontroli Piao wyłączone wojska na południu kraju, następnie okręgi wojskowe w Nankinie i Kuangsi, a w południowo-wschodnim rejonie kraju wybuchły zamieszki wśród dowódców wojskowych. W dziewięciu prowincjonalnych komitetach partyjnych, utworzonych w końcu stycznia 1971 roku, nie było już ludzi Lin Piao, chociaż na ich czele stali nadal wojskowi. Od czasu do czasu zaczęły się ukazywać w prasie informacje o antywojskowych wystąpieniach w wielu rejonach Chin. Rząd zwracał się do armii z apelowaniem o podporządkowanie się partii...

1 maja ub. roku Mao Tse-tung, podtrzymywany przez dwie pielęgniarki, i Lin Piao pokazali się publicznie w Pekinie. Grupa, otaczająca przewodniczącego, składała się tylko z Cziang Czing, Jao Wen-juana i Czan Czun-ciao. Był także obecny Czou En-lai, ale nie było ani Czen Bo-da, ani Kan Szena.

Wkrótce potem, w czerwcu 1971 roku, zniknęli: Lin Piao, szef sztabu generalnego Chuan Jun-szen, dowódca wojskowych sił powietrznych U Fa-sian i komisarz polityczny marynarki

wojennej Li Tso-pen, tj. cały szczyt wojskowy. W Pekinie zaczęły krążyć pogłoski o poważnych rozdźwiękach w kierownictwie, które ujawniły się na obradach we wrześniu. Sądząc po wszystkim, 11 września 1971 roku, czystka objęła Lin Piao i jego zastępców. Później ukazała się informacja, że na terytorium Mongolskiej Republiki Ludowej rozbił się chiński samolot, a wśród jego szczątków odnaleziono zwłoki dziewięciu nie rozpoznanych ludzi. Niektórzy z pasażerów zostali zastrzeleni jeszcze przed rozbiem się samolotu. W ciągu siedmiu tygodni nie wznosił się w powietrze ani jeden chiński samolot wojskowy. Został zmieniony program obchodów, poświęconych, przypa-

dającej w dniu 1 października, 22 rocznicy utworzenia ChRL. Umilkły głosy o zwolnienie sesji ogólnochińskiego zgromadzenia delegatów ludowych.

Zniknięcie Lin Piao rozpoczyna nowe przetasowania w składzie kierownictwa chińskiego. Jakże to będzie miało skutki dla narodu chińskiego — to już inna sprawa. Zresztą z narodem chińskim nikt się w Chinach nie liczy, ale nie przeszkadza mu to myśleć o dniu, w którym zejdzie z piedestału 78-letni przewodniczący Mao, a jego żona Cziang Czing znajdzie się wreszcie na dalekim planie. Mówi się, że Lin Piao powiedział o niej któregoś razu: „Gdy stara kura gładzi o świecie — dzień będzie niepomyślny”.

Na osi Waszyngton-Pekin

„COURIER DE POLITIQUE ETRANGERE” — PARYŻ

Na pierwszy rzut oka, polityczna wspólnota interesów Pekinu i Waszyngtonu wydaje się — nie bez podstaw — zadziwiająco paradoksalnym. Oczywiście motywy, pobudzające prezydenta Nixona i Mao Tse-tunga do popierania marszałka Chana są bardzo różne. Prezydentowi Nixonowi zależało na podtrzymaniu wojskowego sojusznika SEATO i CENTO. Amerykanom bardzo zależało na bazach w Pakistanie i Waszyngton, rzecz jasna, stanął po stronie podporządkowanej mu dyktatury wojskowej. Chiny natomiast są zainteresowane w zaostrożeniu sporów terytorialnych. Już w 1960 roku Pekin udzielił Pakistanowi kredytów i wydatnej pomocy wojskowej.

W czasie konfliktu w 1965 roku między Indiami a Pakistanem, Pekin spróbowował incydenty graniczne w Himalajach. Jak wiadomo, rząd pekiński ostro wystąpił przeciwko deklaracji tashkenciekiej, która stworzyła podstawy do pokojowego rozwiązania konfliktu indyjsko-pakistańskiego.

Dziś, maoiści, mieniący się rzecznikami walki narodów o wolność i niezawisłość, zapominają, że na wyborach w grudniu 1970 roku ludność Wschodniego Pakistanu jednomyślnie poparła Ligę Narodów i że w chińskiej prasie próżno by szukać nawet drobnej wzmianki, iż w marcu ub. roku marszałek Chan żądał zerwania rozmów, prowadzonych przez Ligę Narodową z rządem w Islamabadzie.

Rezolucja, którą poparł Pekin w Radzie Bezpieczeństwa, żądała, by jednocześnie z przerwaniami działań wojennych — ewakuować okupowane terytoria. Rezolucja ta, za którą Francja nie głosowała i która dzięki radzieckiemu veto została odrzucona — oznaczała, iż

Wschodni Bengal zostałby wydany na pastwę wojsk pakistańskich, które w ten sposób mogłyby kontynuować masowe rozstrzeliwania ludności.

O ścisłych powiązaniach między Pekinem i Waszyngtonem świadczy fakt, iż w maju ub. roku Pekin podejmował wojskową delegację Pakistanu i że jednocześnie prasa pakistańska podala informację o dalszej, ekonomicznej pomocy chińskiej dla Pakistanu, niezależnie od obiecaną już w listopadzie 1970 roku pożyczki w wysokości 200 milionów dolarów.

Ponadto 15 listopada ub. roku pakistański dziennik „New Times” zamieścił na pierwszej stronie informację, że Pekin rozpoczął dostawy 400 samolotów myśliwskich i bombardujących, a także człotóg i dział przeciwlotniczych. Pekin skierował również do Pakistanu 200 instruktorów wojskowych, w celu przeszkolenia żołnierzy pakistańskich w metodach prowadzenia walki z partyzantką.

W ten sposób, Chiny, stając otwarcie po stronie kolonizatorów — Wschodni Pakistan traktowany gorzej, niż kolonię podporządkowaną niegdyś białym władcom — nie tylko zdradziły swoją doktrynę niezawisłości narodów ale także wyrzekły się uzbrojonych przez siebie bengalskich ugrupowań, wiodących wojnę partyzancką przeciwko pakistańskiemu okupantowi.

Spisek Stanów Zjednoczonych i Chin został zdekonspirowany i pokrzywany przez Bangla Desz. Obecność amerykańskiej floty wojennej w Zatoce Bengalskiej była niepotrzebna i w istocie dzielną prowokacją. Dostawy chińskiej broni do Pakistanu nie przeszkodziły Bangla Desz w uzyskaniu niepodległości.

Myśląca maszyna

„NEW SCIENTIST JOURNAL” — LONDYN

Grupa konstruktorów centralnego laboratorium badawczego firmy „Hitaki” w Tokio opracowała prototyp „myślącego” robota. „Czyta” on rysunki techniczne i montuje — według zadane- go programu — detale prostych układów. Składowymi częściami robota są: „oko”, „mózg”, „ręka”.

„Oko” jest zaopatrzone w dwie telekamery, z których jedna odbiera potrzebne detale, a druga „odczytuje” roboty schemat składający się ze standardowych rysunków montażu.

Główną częścią robota jest „mózg”. Jest to w zasadzie średnich rozmiarów kompu-

ter. „Ręka” robota jest manipulatorem z urządzeniami chwytowymi i może wykonywać siedem różnych ruchów. Kierownik grupy konstrukcyjnej, dr Masakazu Edziri, mówi, że na razie jest to „jeszcze dość droga zabawka”, ale już w niedalekiej przyszłości możliwości zastosowania takich robotów rozszerza się bardzo znacznie.

Rząd japoński, przewidując duże korzyści w praktycznym wykorzystaniu sztucznego mózgu, asygnował 40 milionów funtów szterlingów na rozwój tej gałęzi techniki.

O ŁODZI, LITERATURZE I WŁASNEJ TWÓRCZOŚCI

Rozmowa z Sekretarzem Generalnym Zarządu Głównego Związku Pisarzy ZSRR, prozaikiem — Georgijem Markowem

ODGŁOSY: Jest Pan przewodniczącym delegacji pisarzy radzieckich na Zjazd Związku Literatów Polskich, który odbywa się w Łodzi. Wraz z Panem przyjechał: poeta białoruski z Mińska Maksym Tank i tłumacz literatury polskiej z Moskwy Wiktor Borisow. Jeżeli się nie mylę, do Łodzi przybył Pan po raz pierwszy. Czy można zapytać, jakie wrażenie wywarło na Panu nasze miasto?

GEORGIJ MARKOW: Rzeczywiście jestem w Łodzi po raz pierwszy. Ale dużo o tym mieście czytałem i słyszałem. Znam jego historię i tradycję walk rewolucyjnych łódzkiego proletariatu. Łódź wywiera duże wrażenie. Dostrzegam się na każdym kroku, że to miasto przemysłowe, miasto wielkiej ilości fabryk, wyczuwa się dynamiczny rytm życia tego miasta. Szczególnie silne wrażenie zrobiły na mnie i moich kolegach Pomnik Martyrologii Dzieci i Muzeum Męczeństwa na Radogoszczu. Minuty, które tam spędziliśmy, były minutami głębokiego wzruszenia i na trwałe zapisały się w naszej pamięci. Złożyliśmy również wieńce na cmentarzu żołnierzy radzieckich, którzy polegli w walce z hitleryzmem, przyczyniając się do wyzwolenia waszego miasta.

Jeśli chodzi o kontakty z mieszkańcami Łodzi, to przede wszystkim chcielibyśmy powiedzieć o wieczorze autorskim, który odbył się w „Feminie”. Pokazano nam zakład, a ludzie, z którymi rozmawialiśmy, żywo interesowali się literaturą radziecką, życiem naszego kraju i nami jako pisarzami. Atmosfera była bardzo przyjemna, wynieśliśmy z tego spotkania jak najlepsze wspomnienia. Wdzięczni jesteśmy waszemu i Sekretarzowi, tow. Bolesławowi Koperskiemu, który ze wszystkimi delegatami zagranicznymi, przybyłymi na Zjazd polskich pisarzy, odbył przyjazną rozmowę i znalazł czas, aby poinformować nas o programie przebudowy Łodzi, wielkiego centrum przemysłowego, w nowych sprzyjających warunkach. Cieszy nas to wszystko, gdyż dotyczy przecież zaprzyjaźnionej z nami Polski.

Od początku naszego pobytu w Łodzi towarzyszył nam przyjacielski stosunek ze strony mieszkańców tu pisarzy. Znamy wasze łódzkie środowisko literackie, znamy waszych autorów z licznych kontaktów. Wierzymy, że te przyjazne kontakty będą się rozwijać i rozszerzać, że będziemy gościem waszym coraz częściej i nas i przekładać wasze książki.

ODGŁOSY: Był Pan uczestnikiem naszego Zjazdu, przysłuchiwał się Pan naszym obradom. Jakże Pan widzi podobieństwa i różnice pomiędzy polskimi i radzieckimi zjazdami pisarzy?

GEORGIJ MARKOW: Natural-

nie są różnice. Zjazdy pisarzy w ZSRR gromadzą przedstawicieli literatur wielonarodowych, wielojęzycznych. Dalej: pisarze w ZSRR żyją w warunkach socjalizmu ponad pół wieku, wynikają stąd bardzo różnorodne doświadczenia i problemy. Po prostu: żyjemy dłużej niż wy, w warunkach nowego ustroju.

A podobieństwa? Przede wszystkim poczucie odpowiedzialności pisarza. Wydaje mi się, że zjazd wasz dowiódł, iż pisarze polscy świadomi są pełnej odpowiedzialności przed własnym społeczeństwem. Jest to szczególnie ważne po VI Zjeździe waszej partii, na którym uchwalono ogromny program socjalistycznego budownictwa. Wiąż z narodem, ze społeczeństwem z pewnością, jak sądzę, umożliwi waszym pisarzom nowe twórcze osiągnięcia.

ODGŁOSY: Czy mógłby Pan nam powiedzieć, co nowego dzieje się w literaturze radzieckiej. Jakie powstały nowe książki, o czym się dyskutuje i mówi w środowisku literackim?

GEORGIJ MARKOW: Życie literackie w ZSRR jest bardzo intensywne. Mamy 72 czasopisma w różnych językach, które prezentują na swoich łamach wszelkie rodzaje literatury. Oprócz tego dziesiątki wydawnictw wypuszczają wciąż nowe książki na rynek. Byłoby to zadanie ponad moje siły, gdybym chciał omówić wszystkie wyróżniające się i znaczące utwory. Powiem jedynie, że głównym dążeniem literatury radzieckiej, naszych pisarzy jest odtworzenie obrazu współczesności, ukazanie bohatera naszych czasów w najróżnorodniejszych formach i rodzajach pisarskich. Dla przykładu mogę podać fakt następujący. Jestem przewodniczącym jury kon-



kursu literackiego na utwory, poświęcone zagadnieniu pracy i życia robotników. Wyniki ogłosimy w dniu 1 maja. Do tej pory otrzymaliśmy ponad 200 powieści i dłuższych opowiadań. Wśród uczestników tego konkursu znajdują się wybitni pisarze radzieccy, pisarze młodzi, a pomiędzy nimi robotnicy i inżynierowie pracujący w fabrykach. Konkurs ten trwa już trzeci rok. W pierwszym etapie tego konkursu główną nagrodę Związków Zawodowych i Związku Literatów otrzymał Grigorij Konnowalow za powieść „Zróżdka”. Z tegoż konkursu wyłoniono dalsze ciekawe utwory: Władimira Popowa „Zdobędziesz w walce” i Michała Bubiennowa „Wartki prąd”. Wśród laureatów znalazł się robotnik moskiewski Siergiej Antonow, który napisał książkę o życiu swojej fabryki.

ODGŁOSY: I wreszcie pytanie ostatnie, pytanie zwyczajowe w takich rozmowach. Nad czym Pan pracuje, co Pan przygotowuje nowego?

GEORGIJ MARKOW: Niedawno ogłosiłem swoją nową powieść pt. „Syberia”. Jest to pierwszy tom z zamierzonego cyklu, poświęconego życiu i problemom tej części mego kraju. Ukazał się on w nakładzie 150 tysięcy egzemplarzy, a ponadto w formie powieści gazetowej (Romangaziet) w nakładzie miliona dziewięciuset tysięcy egzemplarzy. Obecnie pracuję nad drugim tomem tego cyklu. Dlaczego o Syberii? Bo stamtąd pochodzę i młodość swoją spędziłem w tajdze. Dużo jeździłem po kraju, ale najchętniej właśnie tam — do krainy mojej młodości. Niedawno ogłosiłem także tom szkiców pt. „Życie, literatura, pisarz”.

ODGŁOSY: Dziękujemy pięknie za ciekawą rozmowę.

Rozmawiał JAN KOPROWSKI



CZECHOWICZ

„Spotkania z Czechowiczem” są książką, którą omawiać trudno — można ją tylko zarekomendować. Kto interesuje się twórczością i postacią tego fascynującego poety — książkę przeczyta na pewno. Miłośników poezji Józefa Czechowicza jest wielu, dobrze więc, że Wydawnictwo Lubelskie wydało ten duży tom wspomnień i refleksji wzbogaconych nawet garścią wierszy poświęconych poecie.

Czterdziestu pięciu autorów przypomina nam Czechowicza — mówiąc filmowo — w różnych planach. Piszą o nim ci, którzy go znali najlepiej, ci, którzy zetknęli się z nim przelotnie i ci, którzy razem z nim prowadzili działalność społeczną i literacką... Słowem książka wydana w Lublinie oświetla nam postać tego znakomitego poety ze wszystkich stron i w różnym nateżeniu.

Zastanawiam się tylko, czy tom ów nie byłby pełniejszy, gdyby włączono do niego fragmenty książek Mrozowskiego czy Gralowskiego, poświęcone przecież w głównej mierze Czechowiczowi. Co dziwnejsze, w przedmowie Seweryna Pollaka, który tom opracował, brak nawet wzmianki, że takie książki o poecie istnieją. Informacje na ten temat znajdzie co prawda Czytelnik w szkicu Jana Koprowskiego, ale wydaje się, że do obowiązków redaktora zbioru należało choć w przedmowie wymienić ważniejsze publikacje „czechowiczowskie”. Zwłaszcza, że oprócz literatury pamiętnikarskiej istnieją na temat Czechowicza opracowania krytyczno-literackie, jak choćby prof. K. Wykił.

*) „Spotkania z Czechowiczem”, Wyd. Lub. 1971, cena 40 zł.

KSIAZKA O SAWINKOWIE

Opasłe, ponad 600-stronicowe „czytadło” o Borysie Sawinkowie *) na pewno zainteresuje miłośników literatury polityczno-sensacyjnej. Sawinkow był znanym zamachowcem z okresu walki z caratem, potem wszedł do rządu Kiereńskiego, a po Rewolucji Październikowej prowadził ożywioną działalność szpiegowską i dywersyjną wymierzoną przeciwko młodej republice Rad.

Postać wystarczająco ciekawa, aby książka o nim i o tamtych latach była bestsellerem. Niestety nie jest. Zaciął się na niej schematyzm — autor Wasilij Ardamatski, przeciągnął akcję chyba ponad miarę, wiele w niej uproszczeń czysto literackich, sporo banału. Ale książkę się czyta — pasjonujący temat wytrzymał zabieg autora i tłumaczy, którzy np. nie wiedzą, jak w międzywojennej Polsce nazywały się wojska ochrony pogranicza. Jest zresztą rzeczka w ogóle dość śmieszna — tłumaczył tego rodzaju „czytadło” pokrętny mi zdaniem w rodzaju: „W dodatku konkretna forma walki, którą tu zobaczył, była tak daleka od niego, że uwikłał się w jakąś abstrakcyjną gadaninę i uderzył w wielki dzwon o jakichś jasnych i ciemnych silach...” i tak dalej. Zobaczył formę, która była daleko, potem się uwikłał i uderzył w dzwon o silach... Tłumaczenie oscyluje na granicy bełkotu. A szkoda, bo książka mówi o sprawach ciekawych i wartych poznania.

*) Wasilij Ardamatski „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”, KiW, cena 45 zł.

TRZY EPOKI

Renesans — reformacja — barok. Prądy — idee — ludzie — książki... Tak się właściwie streszcza tematyka blisko 800-stronicowej pracy Henryka Barycza *). Zeby nie było nieporozumień owe siedem hasel tematycznych pomieścił autor w tytule swego dzieła. Czytelnik ma więc pełną jasność w momencie spojrzenia na kartę tytułową. Nie jest to oczywiście lektura do poduszki, nie jest to lektura na jeden wieczór, ale dzieło Barycza warto mieć w swoim księgozbiore. Zawiera ono bowiem bezmiar informacji naukowej od Erazma z Rotterdamu poczynając — na legendarnym alchemiku Sędziwju kończąc. Opowiada nam Henryk Barycz o polsko-szwajcarskiej współpracy kulturalnej (Bazylię była celem wędrówek polskich żaków), o rodzie Kochanowskich (szczególnie o Piotrze, pisarzu bez biografii), a narodzinach ruchu reformacyjnego, o roli Przemysła w rozwoju polskiej kultury renesansowej...

Samo wymienienie tylko tematów zawartych w książce zajęłoby parę stron maszynopisu. Dość powiedzieć, że indeks nazwisk i nazw wieńczący to dzieło, liczy 66 kolumn drukul Potężna praca naukowa, zawierająca sumę wiedzy na temat trzech tak znaczących w historii Polski i Europy epok kulturowych.

J. W.
*) Henryk Barycz „Z epoki renesansu, reformacji i baroku”, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1971, cena 100 zł.

Tramontana

Dalszy ciąg ze str. 1

Robili naprawdę doskonałą muzykę, a w przerwie podeszli do mnie i zapytali, czy jestem służbowo. Powiedziałem:

- Prywatnie.
- I nie będziesz pisał o fabrykach?
- Nie będę.
- I nie skrzywdzisz biednych muzykantów?
- Nie skrzywdzę.
- No to słuchaj...
- I zaczęli prawić mi cuda-niewidy: zaraz obok Budry są tak zwane Hawaje, mała ugorna wysepka, na któ-

rej do dziś gra łódzki zespół pana Urbańczyka. W San Stefano natomiast jeszcze do niedawna występował kwartet pod kierownictwem pana Henryka Czekalskiego, tego, co to mieszka na Gdańskiej. San Stefano jest chyba najpiękniejszą i najbardziej ekskluzywną miejscowością na Wybrzeżu Adriatyckim, lecz Czekalski, tak czy owak, ma pecha...

- Dlaczego?
- A, bo ledwo stąd wyjechał, przyjechała Sophia Lorei.
- I to jest pech?

— Jasna sprawa. Ty też masz pecha. Dziś żeś przyjechał, a ona dwa dni temu wyjechała.

— No i jak ona się czuje?

— W porządku. Miała apartament w tym hotelu, gdzie grał Czałow, a jacht jej stał u nas w zatoce i nieraz widzieliśmy, jak się kąpie w czarnym kostiumie, no i wiesz, jak sprawy wyglądają...

— Wychodziła na brzeg?

— A jak to nie. Miała w ręku plik swoich zdjęć z autografami i ludzie nacierali na nią łagodnie, a klezmy wrzeczali bezładnie.

Nieco później dowiedziałem się, że w tę sprawę był poważnie zamieszany ów miłośnik gwary warszawskiej (kolejarzu, wóz ten medalik na szyję, a żaden semafor cię nie zabije), muzykujący na tarasie pobliskiej kawiarni w pięciopiętrowej polskiej kapełi oraz małeletni syn pewnego barabańszczyka z Łodzi, zarabiającego na chleb w jeszcze innym ośmiennym lokalu. Po prostu obaj poczuli się oszukani, kiedy zobaczyli, że na otrzymanych od pani Loren fotografiach brak jej cennego podpisu i następnego dnia, rozebrawszy się do

kapełówek, podpłynęli bohaterko do jej jachtu, który stał pięćset metrów od wybrzeża, w związku z czym, po osiągnięciu burty, byli tak wypompowani, że załoga, chcąc nie chcąc, musiała wciągnąć ich na pokład, a zdjęcia trzymali w zębach i z miejsca zażądali na migi, aby sławna aktorka dokonała formalności, podpisując się — czytelniku! — imieniem i nazwiskiem. Wówczas ktoś z załogi zaczął im grzecznie tłumaczyć, że to nie jest takie proste, gdyż w tej chwili pani Loren odbywa swoją codzienną sjeść, a znowu po sjeście, gdzieś za godzinę, będzie musiała poddać się codziennemu masażowi, który potrwa jakieś trzy kwadransy. Na to miłośnik gwary warszawskiej (nawet święty pan Jurek, co ciągnie za sznurek za jedyne pięć złotych... dzieci! ochromocicie się od stragana), zauważył, że im się wcale nie spieszy, a skoro już przepłynęli taki kawał, to — mowy nie ma! — z pustymi rękami nie odejda, bo co by na to powiedziała jego córka, zbierająca, ale musowo z autografem, podobizny sławnych gwiazd, i ojciec tego miłego wyro-

stka, inspirowany całą wyprawą w myśl poprawy stosunków: Wschód — Zachód Po wygłoszeniu tej kwestii w języku polsko — niemiecko — rosyjskim usiadł twardo przy pokładowym stoliku pociągając za sobą nieco zdetonowanego, nie z każdą chwilą nabierającego pewności siebie syna łódzkiego barabaniarza i obaj zapalili z lekkim obryzaniem leżące na tacy Dunhill, wspominając z lubością ostry smak naszych Sportów. Widząc to, kelner przysunął im grzecznie popielniczkę, a po chwili, na rozkaz jakiegoś ukrytego pod pokładem bossa, wyniósł im także dwa kielichy i litrową butle włoskiego wina, co było przeciw ciężkim błędom, gdyż oni nie mieli frajerskiego zwyczaju maczania warg, tylko — jak to się mówi — pili „całością” i w takim tempie, że już po kilkunastu minutach flacha zionęła beczelną pustką, co widząc, zażądali drugiej flachy. Ponieważ kelner zwłóczył z wykonaniem ich żywotnej prośby, zapadli w lekką,

Dalszy ciąg na str. 4

Spór o zabytki

Architektura przemysłowa

Łódź jest największym zespołem budownictwa przemysłowego na obszarze Polski, która w okresie panowania stylu klasycystycznego i historyzmu utrzymywała szerokie kontakty handlowe z ośrodkami przemysłowymi w całej Europie.

Rodziny fabrykantów budowały swoją nową Arkadię — przemysłową Łódź. Miasto kontrastów, miasto niepodobne do innych. Tej inności łódzianie nie uświadomili sobie, dlatego ewidentnie dopiero dziś pierwsze kroki na rzecz skutecznych posunięć w celu zlikwidowania opinii: „brzydkie miasto”.

Pierwsze próby włączenia łódzkiej architektury i budownictwa do grupy chronionych dzieł architektury najnowszej odnotować można w latach sześćdziesiątych XX w. w okresie przygotowywania nowej ewidencji zabytków nieruchomych. Były to jednakże propozycje dalekie od doskonałości, gdyż nie oparte o możliwe pełne, wyczerpujące opracowania tej architektury, do niedawna jeszcze często lekceważonej i niedocenianej.

A przecież brzemienne duchową spuścizną przeszłości, zabytkowe dzieła architektury przemysłowej, budowane rękami klasy wyzyskiwanej, klasy robotniczej, pozostają w życiu współczesnym żywym świadectwem stuletniej tradycji naszego miasta fabrycznego. Dzisiaj, z każdym dniem bardziej świadomości jednolitego charakteru wartości ogólnoludzkiej, pozostawionej spuścizny, musimy dziełom wiekopiętnym dzieła sztuki uznać za dziedzictwo współczesne i odpowiedzialnie głosować za ich uznaniem i zachowaniem wobec przyszłych pokoleń. Pozuwamy się bowiem do przekazania tychże wartości w całym bogactwie ich autentyzmu.

Zainteresowanie problematyką historii budownictwa przemysłowego jest w Polsce zjawiskiem stosunkowo świeżej daty. Badania naukowe w zakresie historii techniki i historii kultury materialnej, a zwłaszcza dzieł rozpoproszenia środków pracy i wytworów produkcji, stanowią o poznaniu zróżnicowanych klasowo warunków bytowych ludności, które charakteryzują sytuację gospodarczą i sytuację społeczną dawnej Łodzi przemysłowej.

Znajomość tych warunków, pozwalająca na ustalenie przesłanek masowych ruchów rewolucyjnych, jest więc konieczna dla prac nad historią społeczną.

Niezwykle cennym dokumentem rozwoju technicznego i warunków bytowych są zespoły domów tkaczy i kolonie mieszkaniowe robotników i urzędników nieopodal fabryk przemysłowców. Najbardziej reprezentatywna jest zabudowa „Księżego Młyna”. Spacer tam może uświadomić więcej niż wielogodzinne lekcje z historii kapitalizmu, czyli dziejów łódzkiego proletariatu.

Rozwój miasta znalazł odbicie w pejzażu, w wyglądzie urbanistyczno-architektonicznym. Poza budynkami zespołów fabrycznych, będących chyba jednym z najciekawszych przykładów sztuki i techniki — przemysłowego pejzażu — wznosi się przy wąskich, ruchliwych ulicach: domy, kamienice czynszowe, ukryte w ogrodach wille i pałace, mała architektura parkowa i cmentarna — jednak fabryki włókiennicze wznosi się wszędzie i one decydują o plastyce krajobrazu miasta.

Mamy więc w łódzkiej architekturze przemysłowej przykłady klasycyzmu i okres bezstylowości lat pięćdziesiątych XIX w., potem zwrot ku historyzmowi i stosowanie elementów dekoracyjnych, czerpanych z architektury różnych stylów. Pewne odbicie znajduje secesja i modernizm, dalej konstruktywizm.

W budownictwie fabrycznym istniało owo „domaganie się nowości w zdobieniu nowo wznoszonych budowli”, gdyż parę lat później zarzuca się motywy stylów historycznych, a stosuje się nowe elementy dekoracyjne, współcześnie modne. I tak na przykład w 1910 r. Karol Scheibler wznosi pomieszczenie dla turbin swej nowo założonej elektrowni. Ten dwuhalewowy budynek uderza prostotą i przejrzystością konstrukcji, jak również pięknym zakomponowaniem ścian czołowych.

Dzisiaj z perspektywy roku 1971 zdajemy sobie sprawę z tego, że wielorakie linie prowadzą do różnych kierunków architektury przemysłowej — architekt torował jej drogę swa afirmacja ma-

szyny, stosowaniem na szeroką skalę żelaza, szkła i żelbetonu, swobodniejszym grupowaniem brył — świadomość tego jest jednym z rysów człowieka nowoczesnego. Architektura i budownictwo przemysłowe jako dzieło techniki modyfikuje pod jakimś względem nasze ujęcie dzieł sztuki w wieku XIX.

Przechodząc do najciekawszej kompozycji urbanistycznej — planu „Księżego Młyna” — trzeba już na wstępie stwierdzić, że był on produktem swoich czasów, odbiciem kanonów i upodobań estetycznych tej epoki. Było to jedno z pierwszych osiedli robotniczych w Łodzi, a zarazem jedno z pierwszych w Polsce. Architektura surowa i monumentalna, typowa dla osiedli robotniczych budowanych w XIX w. w całej Europie.

Służba konserwatorska proponuje na tym terenie wytyczyć skansen miejski. Być może nasz postulat jest dyskusyjny. Uzasadnia go tylko argument naukowy i oświatowy oraz dobry stan zachowania zabytku. Zrozumiałe jest zaciekawienie opinii naukowej naszym projektem, gdyż proponuje „uzabytkowanie” całego zespołu, nie zawsze czynimy zażość wymaganiom estetyki.

Okazją do bezpośredniego skonfrontowania różnych poglądów na temat potrzeby ochrony najnowszych zabytków stało się Praskie Sympozjum.

Czy hasło ochrony architektury fabrycznej zyska uznanie wśród historyków sztuki — tego nie przesadzam. Sadzę jednak, że w całości zachowane obiekty fabryczne „Księżego Młyna”, rozplanowane przestrzennie, stanowią pod względem kompozycyjnym świetne uzupełnienie badań nad historią kultury materialnej i historią techniki. Świadczą jako dokument o niepośledniej roli stosunków własnościowych w procesie kształtowania urbanistyki miejskiej w okresie kapitalizmu.

Problem opieki konserwatorskiej nad obiektami przemysłowymi polega nie tylko na ochronie przed niszczącą działalnością człowieka oraz przyrody, ale również na stworzeniu odpowiednich warunków adaptacyjnych dla zabytku.

W roku 1970 wystąpiono z wnioskiem zorganizowania skansenu miejskiego na „Księżym

Młynie”, gdzie obok domków fabrycznych robotników chcemy zlokalizować domki pierwszych tkaczy łódzkich w celu wizualnego ukazania ewolucji form architektonicznych i społecznych proletariatu miasta przemysłowego. W dawnym pałacu przemysłowca utworzy się Muzeum Wnętrz i Sztuki XX Wieku, które by w sposób wszechstronny obrazowało dynamiczny rozwój i narastanie kultury artystycznej i materialnej w Łodzi — jako następstwo eksplozji ekonomicznej lat przełomu. W zachowanych autentycznych pomieszczeniach pałacu można urządzić wnętrza z epoki, tj. II połowy XIX wieku. Pałac z przylegającymi terenami par-

lowymi połączy funkcję rekreacyjną z muzealno-dydaktyczną. Muzeum podobnego typu do tej pory w Polsce nie istnieje. Rejon urbanistyczny posiada oryginalne walory widokowe i turystyczne, będzie unikalnym zespołem zabytkowym budownictwa przemysłowego XIX wieku.

Urbanistycznie zabytek jest nie tylko światowej klasy atrakcją turystyczną, ale stanowi także miejsce ekspozycji historycznej, dokumentującej rozwój kapitalizmu na ziemiach polskich w XIX wieku.

Hasła: „zabytkowa Łódź” nie znajdują w encyklopedii. Trzeba je tam wpisać.

Rozwiązanie konkursu świątecznego

Prawie 1800 odpowiedzi nadesłali nasi Czytelnicy na konkurs „Świąteczne podarunki”. Przydział prezentów dla poszczególnych bohaterów nie nastąpił uczestnikom specjalnych trudności. Nie wszyscy jednak trafnie odgadli — podajemy więc prawidłowe rozwiązanie:

Jacek Fedorowicz — książka „Małżeństwo doskonałe”, Gustaw Holubek — Napoleon, Czesław Niemien — komplet „Gazety Radomszczańskiej”, Franciszek Pieczka — czołg, Violetta Villas — bilet do Las Vegas, Andrzej Wajda — lep na muchy, Ewa Wiśniewska — słuchawki lekarskie, Adam Zwierzyński — dwa konie.

W wyniku losowania I nagrodę — bon towarowy 1500 zł — otrzymała **Marta Bartnicka** z Radomska (Kupczyńskiego 4c m. 5). II nagrodę — bon towarowy 1000 zł — otrzymała **Alina Wroniszewska** z Łodzi (Srebrzńskiego 49 m. 6). III nagrodę — bon towarowy 500 zł — otrzymała **Halina Wyrzuc** z Łodzi (Grabowa 17/8).

Pięć wyróżnień książkowych otrzymali: **Krzysztof Kroc** (Skierniewice J.W. 2232 „O”), **Ewa Zaranek** (Ciechocinek, Dębickiego 6), **Kazimierz Pleśniak** (Warszawa 12, skrytka pocztowa 111), **Zofia Miller** (Łódź 11, Wrocławska 6a m. 25), **Maria Osimowicz** (Łódź, Gdańska 45).

Czytelników, którzy wygrali bony towarowe, prosimy o zgłoszenie się do redakcji „Odgłosów” (Łódź, ul. Piotrkowska 96, III piętro) celem odebrania nagród. Nagrody książkowe Czytelnikom zamiejscowym wysłamy pocztą.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

W świątecznej krzyżówce „Ogłosów” nagrody wylosowali: lampę na biurko — **Tadeusz Ostachowicz** (Łódź, Traktorowa 23 m. 71), budzik — **Franciszek Krzepota** (Ozorków, 18 Stycznia 59), suszarkę do włosów — **Anna Sprusińska** (Kraków, Sienkiewicza 9 m. 11).

spektakle tygodnia

za okres od 24 do 30. I. 1972 r.

tytuł	liczba spektakli	liczba widzów	proc. widzów
WIELKI			
„Henryk VI na łowach”	1	1260	100
„Królewna Snieżka”	1	1260	100
NOWY			
„Idiota”	2	1120	80
„Sprawa Dantona”	2	1400	100
„Opowieści lasku wiedeńskiego”	2	1260	90
„Janosik”	2	1260	90
NOWY			
Mała Scena			
„Urodziny”	2	280	70
„Rodeo”	1	120	60
„Ofiary obowiązku”	1	160	80
POWSZECHNY			
„Perla”	3	1950	100
„Królewskie polowanie na słońce”	2	960	85
„Zatopione królestwo”	1	660	100
JARACZA			
Mała Scena			
„Wilki”	2	750	72
„Kartofel”	3	1113	76
„W pustyni i w puszczy”	1	551	100
JARACZA			
Mała Scena			
„Oskarżyciel publiczny”	2	171	100
7.15			
„Po górach, po chmurach”	6	1612	70
OPERETKA			
„Ach, Nicole”	7	5444	70
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	1250	70

Tramontana

Dalszy ciąg ze str. 3

pełną słodkich widzeń drzemkę, a załoga zbaraniata do cna. I wtedy pojawił się nagle Carlo Ponti.

Czigodny ten pan, po wystuchaniu sprawozdania z przebiegu wydarzeń, rozkazał obudzić żonę i podpiąć jej obydwa zdjęcia, a kiedy jego wola została spełniona, polecil także w sposób łagodny przywołać naszych dzielnych chłopaków do rzeczywistości. Toteż powstał niebawem, mrużąc oczy w ostrym świetle południa i miłośnik gwary warszawskiej (najno, a seria piosenek:

„Tango Lolita”, „Śmierć biednego dolinarza”, „Miłosa noc pod Krakowem”, „Puść mnie, duś mnie, nie będę twoją!”) natychmiast rozpoznał w tym niewysokim i nieprzesadnie owłosionym panu króla włoskich producentów. Co zrobił? Ano, może z mojego reportażu wynika, że mamy do czynienia z człowiekiem ograniczonym i nie wyrobionym towarzysko, ale to bzdura! Poza gwara — polski perkusista znał również szereg wytwornych min i gestów, no i w tych kąpielówkach — opalony, wysoki — prezentował się jak gladiator. Ruszył w stronę burly, pociągając za sobą z lekka zamroczo-

na latorośl barabańszczyka, a mijając Carla Pontiego, sklonił się uprzejmie i powiedział mi w pięć ni w dziewięć: I'm sorry. Później, nie oglądając się więcej, weszli obaj do wody i odpłyneli na plecach, trzy mając w zębach opatrzone podpisanymi zdjęciami.

— Ale wrómy do rozmowy z QUIN-TONEM.

Otóż muzycy pocieszałi mnie, że mam jeszcze szanse otrzeć się o wielki świat, bo choć wyjechała już pani Loren pojawił się na jej miejsce w czarnogórskiej okolicy Kirk Douglas oraz pan Burton i jego znakomita żona, Liz Taylor. Burton ma zagrać rolę prezydenta Tito w filmie o tematyce partyzanckiej, natomiast Liza nie dostała jeszcze określonego zadania i, póki co, roztańcza blaski.

— I co jest jeszcze ciekawego? — zapytałem.

— Ruleta.

— Gdzie?
— Prawie w każdej większej miejscowości.
— Kto to prowadzi?
— Jakieś instytucje charytatywne.
— Były dramaty?
— Nic specjalnego. Kiedyś na Świętym Stefanu, gdzie kasyno należy do Włochów, amerykańscy turyści, w gruncie rzeczy — frajerzy, rozbili trzy razy pod rząd bank i makaroniarze wpadli w panikę. Innym razem jakiś gość pękł na trzydzieści tysięcy dolarów i nawet nie plakał.

— A w Budwie także jest kasyno?
— Aha. Musisz iść do hotelu „International”, udowodnić cerberowi, że nie jesteś Jugosłowianinem, gdyż tubylcy nie mają wjazdu no i zapłacić dwadzieścia dinarów za wstęp...

Informacje te były prawdziwe. Już następnego dnia pojechałem do Świętego Stefana i kibicowałem w kasynie dyszącym z podniecenia ha-

zardziostom, a w dwa tygodnie później, wraz z miłośnikiem gwary warszawskiej (balony, kapłony, raki, ćpaki, nitki, bitki, widelce, straszaki) znalazłem się późnym wieczorem w jednej z niedużych, ale wytwornych sal „Internationalu”. Przez okno widać było zatoczony parkiet na wolnym powietrzu, białą muszlę, w której uwijała się orkiestra oraz basen z czystą morską wodą, a tu znowu ujrzałem trzy stoły wybite zielonym sukniem, otoczone zwartym kordonem ludzi. Wstyd przyznać, lecz w tych sprawach jestem raczej dyletantem. Zauważyłem wprawdzie, że kilka rozlokowanych po kątach składów tnie legalnie w oko, noszące tutaj romantyczne nazwę „Black Jack”, nie poznałem się natomiast na bakarakie...

— Zagramy? — spytał miłośnik warszawskiej gwary, palając rozumiem łądzką odbicia dwudziestu dinarów za wstęp.

— Możemy zagrać — powiedział-

ZOFIA TARNOWSKA

Powiatowy nektar

ILE jest bimbrowni w naszym województwie i w mieście? Na to pytanie nie dadzą odpowiedzi informacje z roczników statystycznych. Porównania i domysły co do ilości i powszechności owej kłęski narodowej — jak również horoskopy co do przyszłości „znakomitego” proceduru przestępczego wysnuwać można jedynie na podstawie dokumentów sądowych — ściślej mówiąc na podstawie spraw karnych osadzonych przez sądy, względnie na podstawie śledztw wszczętych przeciwko producentom powiatowego nektaru, przyłapanych przez milicję na gorącym uczynku pędzenia samogonu.

W ostatnich latach produkcja samogonu zwiększyła się w całym kraju. W 1969 roku organa MO ujawniły i zlikwidowały ponad 1800 nielegalnych gorzelni, w 1970 około 3000, a w 1971 roku około 4000. Województwo łódzkie należy do „przodujących” pod względem masowości wytwarzania samogonu. Wyprzedza je warszawskie, a ustępuje mu lubelskie.

Trzeba się zastanowić nad jedną kwestią: czemu należy przypisać ogromny wzrost nielegalnej produkcji spirytusu? Wiadomo przecież, że w Polsce od 1959 roku działa ustawa o zwalczaniu niedozwolonego proceduru i jest on karalny, a jednak w „cieple” owych zagrożeń kwitnie i owocuje plaga społeczna — siostrzyca wspomagająca plagę alkoholizmu. Spryciarze powiadają, że zakazy są po to, aby je omijać. Tu mamy do czynienia z klasycznym przykładem omijania zakazów, ale okolicznością temu sprzyjającą jest chyba nie inne, jak niedostatek ustawy i konsekwencji karnych.

Dość pikantnymi i szczególnie ilustrującymi rozwój „gospodarki bimbrowej” są fakty wykrywania gorzelni w nowych blokach. Wybuchy spowodowane niedoskonałością aparatury i przygotowaniem technologicznym producentów pociągają za sobą śmiertelne skutki. Ostatni wypadek miał miejsce w Pabianicach. Rencista gotował bimber na powitanie Nowego Roku. Nie powitał...

Zjawisko powszechnego wzrostu potajemnego gorzelnictwa, które technologicznie rzecz biorąc nie wymaga złożonych procesów (w Koluszkach produkcję bimbrową w piwnicy dozorował 12-letni syn właściciela wytwórni), zainteresowało sędziów Sądu Wojewódzkiego dla woj. łódzkiego. Przystąpiono do analizy spraw karnych, osadzonych przez sądy powiatowe okręgu łódzkiego w 1970 roku. Całą dokumentację przewertował sędzia Jerzy Frączak, oceniając ją z wielu punktów widzenia, a to w celu zdobycia najdokładniejszej informacji o niejako anatomii bimbrownictwa. Punktem wyjścia — emocjonalną podniecią do gigantycznej roboty — był list 16-letniego chłopca, skierowany do prokuratury. Nieleitni reprezen-

tant unieszczęśliwionej przez ojca-pijaka rodziny przedstawił jej sytuację i podał adresy bimbrowni — punktów zagrożenia. Błagał o dyskrecję, żeby ojciec się nie dowiedział, „...bo by mnie zabił”, prosił, żeby prokuratura dała jakieś sposoby milicji na likwidowanie bimbrowni, wskazywał domy, które wzniesiono z dochodów uzyskiwanych produkcją bimbrową i rozpiciem bliźnich.

Może ten list, może wiele mu podobnych — dramatycznych opisów życia w oparach samogonu — listów napływających nie tylko do prokuratury, zdecydowało o podjęciu bardziej radykalnych form likwidowania bimbrowni. Powiatowe siły milicyjne, wzmocnione zostały siłami Komendy Wojewódzkiej. Specjalne ekipy ruszyły w teren tropami informacji, które, jak ów wymieniony list, pisały były łzami kobiet — żon, matek i dzieci. Informacje nie nosiły cech zawiści, chęci odwetu. Były beznamiętne i tym bardziej dojmujące. Idąc tropami ekipy trafiły bezbłędnie do zamożnych gospodarzy, do nowych domów, zbrojonych w nowoczesne wyposażenie, znamionujące bogactwo już, nie tylko dostatek. I tam znajdowano setki litrów zacieru, pełne kadzie bimbrowe, aparaty prymitywne i udoskonalone.

Byłam w tych domach. Patrząc na piękne krowy w oborach, którym milicjanci przetrząsali żłoby i podściółkę. I krowy włączono do spisku, bo pod żłobami, w ciepłe zwierzęcych oddechach lub lajna, kisł zacier. W kopcach z kartoflami, w stertach naci, w stosach trocin — obstawione i zamaskowane znajdowano kilkusetlitrowe beczki z dymiącym zacierem, a także na polach i w lasach.

ZMOWA milczenia została ostatnio przzerwana. Trudno ocenić, w jakim stopniu przyczyniła się do tego decyzja Ministerstwa Finansów, przyznająca nagrody za przyczynienie się do wykrycia przestępstw, wiążących się z nielegalną produkcją i sprzedażą bimbrową. Początkowo odnoszono się do niej z rezerwą. Na razie slano anonimowo do milicji z informacją, kto, gdzie, ile produkuje, jaki ma zasięg wytwórni itp. Likwidowano bez pudła. Potem zaczęli zgłaszać się ludzie. Tajemnica informacji została zachowana. I nie wiem, czy należy tylko materialnej zachęcie przyznać zasługi w społecznym ruchu antybimbrowniczym, jaki daje się obecnie zaobserwować. Poczucie bezkarności, rozwyrzenie, terroryzowanie otoczenia i akcentowanie zamożności w zbiorowiskach wsi i osiedli, stało się zbyt dokuczliwe dla otoczenia potentatów bimbrowych. Pryska męt o ich nietykalności i bezpieczeństwie dzięki działaniu Komendy Wojewódzkiej. Nie przemawia do funkcjonariuszy pozorowana nawiązanie i uporczywe nieprzyznawanie się do przestępstwa nawet

w obliczu odkrycia pulsującego zacieru. Zbiera się ślady daktyloskopijne, bada podłoże, na którym zostaje dokumentacja przestępstwa. Gromadzi się dowody do spraw, które wszczynają terenowe jednostki MO, obdarowywane natychmiast materialnymi dowodami przestępstwa.

W województwie łódzkim zlikwidowano w 1970 roku 703 bimbrownie (w pierwszym kwartale 171, a w ostatnim już 207). W 1971 roku zlikwidowano 911 (najwięcej w II kwartale, bo 256). Najwięcej bimbrowni likwiduje się w powiecie brzezińskim (160 w 1971 r.) i łódzkim (129).

Proceder nielegalnej produkcji spirytusu trzeba ostro i bezwzględnie zwalczać. To jest pewne. Milicja wyraźnie zwiększyła operatywność. Jej robota jest jednak dopiero wstępem do rzeczywistej likwidacji drogą represji sądowej. Sąd Wojewódzki w Łodzi dla oceny całego zjawiska dokonał swoistej anatomii bimbrownictwa, przeglądając i badając 377 spraw karnych, osadzonych przez sąd powiatowy w 1970 roku. Z geograficznego punktu widzenia prym wiede Piotrków z powiatem, bo tam liczba skazań wynosi 33. W ubiegłym roku na 1.213 spraw osadzonych w okręgu piotrkowskim 10 proc., a więc 128 dotyczyły nielegalnej produkcji lub sprzedaży bimbrową. Kolosalny wzrost! Ilościowa ocena zjawiska jest może najmniej interesująca, ale inne dane są znamienne dla oceny tej kategorii przestępczości jak i dla działalności zapobiegawczej. Czyż nie jest godnym zastanowienia takie zestawienie: wśród 377 sprawców przestępstw z ustawy o zwalczaniu niedozwolonego wyrobu spirytusu, w 226 przypadkach skazanymi byli mężczyźni, a w 151 — kobiety... A drugi element: wiek skazanych sprawców: do lat 30 skazano 53 osoby, do 40 — 72, do 50 — 118, do 60 — 69, do 70 — 48 i do 80 — 17. Czyż to możliwe, żeby tak wiele kobiet zajmowało się produkcją bimbrową? I czy to możliwe, żeby 20 proc. przestępców, to ludzie po sześćdziesiątce? Niemożliwe. Natomiast pewne jest, że winę za nielegalną produkcję przyjmują na siebie często osoby w podeszłym wieku, schorowane, matki dzieciom. Czyż Kazimiera O., matka pięcioro dzieci ma czas i potrafi obchodzić się z przyzwami do produkcji alkoholu? To samo pytanie można postawić w wypadku 80-letniej staruszki, czy jej rówieśnika. I te fakty nasuwają nie tyle podejrzenia, ile pewność, że za „winnymi z ochoty” kryją się rzeczywiste przestępcy, w stosunku do których osoby „wysunięte” pozostają w ścisłej zależności.

Podobno wszystko idzie do czasu i każde przestępstwo wcześniej czy później — w myśl porzekadła — „Kradzione nie tuczy” — prowadzi do ruiny. W wypadku bimbrownictwa jest nieco inaczej. Walka z bimbrownictwem jeszcze nie nabrała zdecydowanej ostrości. Co prawda trudno najsurowszemu nawet sędziemu zastosować najwyższy wymiar kary, kiedy ma przed sobą matkę pięcioro dzieci, lub staruszkę, czy zniechęconego rencistę, ale mając na uwadze ich parawanową rolę, trzeba dążyć do wykrywania rzeczywistych przestępców, lub pociągać do odpowiedzialności głównego właściciela gospodarstwa, domu, czy obiektu, w którym bimbrownia prosperuje.

Sądy skazywały w zasadzie na kary pozbawienia wolności warunkowo zawieszono i nie przekraczające jednego roku. Jedynie

w 10 przypadkach skazano na kary po półtora roku pozbawienia wolności. Bezwzględne kary więzienia orzeczono tylko względem pięciu sprawców, bowiem ich opinie w miejscu zamieszkania nie dawały podstaw do nadziei, że nie wejdą więcej w kolizję z prawem.

A kary ekonomiczne? Budzą ochotę do dyskusji i krytyki. Zdaje się, że na ich podstawowym minimum zasada się mało skuteczna walka z bimbrownictwem. Jeżeli bowiem jeden, drugi i trzeci producent zapłaci 500, 600, 1000, 2000, a nawet 3000 zł grzywny, to szybko sobie „odbije” swą stratę i wliczy do kosztów produkcji. Jedynie w jednym wypadku wymierzono 30 tysięcy złotych grzywny, ale sąd rewizyjny złagodził ten wymiar do 15 tysięcy złotych. W sześciu przypadkach orzeczono po 10 tysięcy, w dwunastu — po 7 tysięcy, w 27 — 6 tysięcy, a w dwóch — 5.500 złotych.

A inne dolegliwości? W 55 przypadkach z omawianych spraw sądy zobowiązały dodatkowo delikwentów do wykonywania prac na cele społeczne (34) i do określonych świadczeń na takie cele (18). W 21 przypadkach orzeczono dozory odpowiednich osób lub organizacji społecznych, w 18 przypadkach sądy uznały za słuszne podać orzeczenia do wiadomości publicznej przez wywieszenie odpisów na tablicach ogłoszeń w gromadzkich radach narodowych.



tem, gdyż kończył się już czas mojego urlopu, a posiadalem przecież, dzięki QUINTONOWI, który wykombinował mi po starej klezmerskiej przyjaźni luksusowy, lecz prawie darmowy apartament w najstarszej dzielnicy oraz ulgowe wyżywienie — pewne rezerwy finansowe

Przedarliśmy się do stołu. Beben krążył w jedną stronę, a kulka podskakiwała w drugą, pod prąd. Hazardziści obstawiali sztonami cyfry oraz inne, wymalowane na białej płótnie. Niekiedy robili to w ostatniej chwili, kiedy figlarna kuleczka wytracała już swoją szybkość. Ich oczy, palające i czujne, krążyły za przeznaczeniem; ten i ów zaciskał nerwowo ręce, a byli i tacy, co udawali obojętność. Szybko i z czystym sumieniem przegrałem z góry założoną sumę. Podobnie było z miłośnikiem warszawskiej gwary, który wystartował z nibywałym animuszem (tu Kanada, kaźden je-

den szczęście zbada), a potem oklapł gwałtownie i zaczął napierać do wyjścia (już ja woła, panie szefie, pobawie się z polskimi cwaniakami w „trzy miasta”).

Zanim jednak wyszliśmy, dokonalem na przyszłość pewnego odkrycia, kłócącego się, niestety, z tym, co dotąd na temat rulety wyczytałem. Otóż krupierzy potrafia się, i to dość często, mylić, z reguły na korzyść instytucji. W związku z powyższym odbyło się przy stolach parę przykrych, nie pozbawionych złośliwości starc, z których wszystkie zakończyły się porażką krupierów — musieli tu i tam dopłacać, przy czym nie wyglądali na speszonych; byli równie obojętni, jak w chwili, kiedy przyjmowali od szczęśliwych (nieliczonych) wybrańców fortuny wysokie, uiszczone sztonami napiwki.

Powróćmy jeszcze raz do rozmowy z QUINTONEM.
Pytam:
— Jak długo tu grać?

— Pół roku.
— Jest to swoisty rekord?
— Chyba tak. Mamy doskonałą opinię. Nasz kontrakt jest z miesiąca na miesiąc przedłużany.
— Czemu to zawdzięczacie?
— Dobry muzyce. Ale nie tylko. Potrafiliśmy udowodnić, że Polacy to naród solidny i dyscyplinowany. Nigdy się nie spóźniamy, nigdy również nie pijemy w czasie pracy. Przywiązujemy odpowiednią wagę do ubioru, i w równej mierze dbamy o czystość brzmienia jak i czystość instrumentów.
— Co sądzicie o przyjeżdżających tu polskich turystach? — Pytanie to zadalem w imieniu Bogusława Sikorskiego z łódzkiego PZMot.

— Są w zasadzie w porządku. Ale byłoby jeszcze lepszy, gdyby zwiększyć im wymiar dewiz. Za te dziewięćset dinarów trudno w sezonie zachować twarz człowieka, któremu na niczym nie zbywa. Sam zobaczysz.

— Czemu wam najbardziej brak?
— Wiadomości z kraju.
— Chcę wracać?
— Z miejsca. Najbrzydsza ulica w Łodzi wydaje nam się teraz lepsza od najładniejszej ulicy w Budwie.
— Dłuzzy się wam?
— Cholernie. Zabijamy czas w kinach, gdzie co dzień zmieniają repertuar (widziałem później — przyp. AM — kilka zbroczonych krwią, włoskich westernów), czytamy w dwóch alfabetach jugosłowiańską prasę, czasami oglądamy telewizję.
— Dobrze znacie język?
— Porozumiewamy się zupełnie swobodnie, tak, że Czarnogórze biorą nas często za Serbów.

— Co sądzicie o jugosłowiańskiej rewolucji seksualnej?
— Tu w Czarnogórze, rewolucja ta przebiega na papierze. Z jednej strony każdy kiosk kłuje w oczy setki pornograficznych okładek, na które zresztą nie zwracają uwagi

nawet dzieci wracające ze szkoły, z drugiej — panuje wśród kobiet średniowieczna surowość obyczajów i sprobuj tylko zaczepić jakąś o zmierzchu...

— Ale klimat jest wspaniały?
— Tak. Dopóki nie zacznie wiać Tramontana.

To północne, idące z gór wiatrysko budzi w ludziach dręczący niepokój. Jedni cierpią wówczas na migrenę, inni paletają się po głowie myśli samobójcze, jeszcze inni ulegają instyngtom demolacyjnym, a są tacy, co przepijają Tramontanę w barze.

QUINTON bardzo się bał Tramontany, która akurat nadchodziła, zaciągając niebo chmurami i szeleszcząc nutami na pulpach. Twarze muzyków zmarmotniały i pobladły; któryś dał sygnał do grania; weszli na estradę i przekrzykiwali się z wichurą.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

HENRYK CZARNECKI

Wspomnienie

Wstawiłem kiedyś kartkę na wystawę sklepu, że uczyć gry na skrzypcach. Kiedyś trzeba zacząć. Pieczętki na legitymacji mam przecież ważne, a jeśli okaże się, że kandydat gra lepiej ode mnie — mogę lekcji nie przyjąć. Zawsze znajdzie się jakiś pretekst. Nie sądziłem jednak, by był potrzebny. Skoro już ktoś umie tyle co ja, poszedłby raczej do szkoły muzycznej.

Długo nic się nie działo, aż dziś, wstępując tam bez większego przekonania, usłyszałem, że został ktoś adres. Pobiegłem.

Ulica w lewo, ulica w prawo, domy szczerzą do mnie po drodze zęby w przyjaznym uśmiechu, tramwaj podryguje, znów kawałek ulicy, brama. Razem z tynkiem klatki schodowej odpadły resztki moich wątpliwości. Poczuliśmy się tutaj swojsko. Nawet bluza nabrała rumieńców. Na takich schodach byłem kimś. Jestem im wdzięczny, że obtłuczone, poręcz ośmiela spracowanym wytarciem, na górze ktoś pewnie piecze placki kartoflane... Trzeba jednak zwolnić. Wystarczy, gdy będę brał po dwa stopnie na raz. Muszę wysapać z siebie pośpiech. Powolnymi ruchami wzbudzić w sobie powagę. Szkoda, że nie mam okularów. Choćby szklanych, zwyczajnych, bo chudy już byłem dostatecznie, brak tylko było

głębi spojrzenia od nie przespanych nocy nad książką. Zbyt wiele we mnie optymizmu i żywotności, których kontury najlepiej łagodzą okulary.

Przez chwilę jeszcze siedział do mnie plecami. Potem oderwał oczy od warsztatu. Nim jednak odłożył trzymaną w ręku torebkę, zdążyłem dostrzec podobnych dwadzieścia. Wszędzie ich pełno. Kaletnik.

— Ja w związku z ogłoszeniem.
— Ze co? — nie mógł mnie sobie z nikim skojarzyć.

— Udzielam lekcji na skrzypcach. Zostawił pan kiedyś adres...
— To żona. Coś mi mówiła. Ile pan bierze za lekcje?

Zaczął rzeczowo, choć bez większego sensu. Najważniejsza dla niego jest cena.

— Wolałbym najpierw zobaczyć ucznia, usłyszeć co gra, jaki reprezentuje poziom...

Skrzywił się. Nie z powodu niechęci, ale z przyzwyczajenia.

— Jaki tam poziom. Zwyczajnie. Kupił jej skrzypce to i grać by jej trzeba. Ale nie umie.

— Początki najważniejsze. Jak się od razu dobrze ustawi rękę, potem to już bez problemu.

Zachnął się.

— Po weselach grać nie będzie, to i cudów żadnych nie trzeba. Wystarczy jak się nauczy dla siebie.

Rzeczywiście. Jedziemy równo, drabiniastym wozem, powoli, do przodu. Nikt się nie wtrąca do lekcji, nikt się nie cieszy z postępów, tata urodził ją i to wystarczy. Pewnie we śnie, albo po pijanemu, bo dziewczyna raczej niemrawa. Prawie nie mówi, uśmiecha się opuszczonymi oczami, po pokoju przesuwa się bokiem jakby w obawie, by nie nadeprnąć na kogo, zdolności — rozcieńczone ojcowską gorzałką tam w łonie.

Matka prowadzi na rynku stragan z ciuchami. Rozległe kontakty handlowe eliminują ją z domu w sensie fizycznym i psychicznym. Trzeba przecież pojechać do Zgierza i wycisnąć najtaniej towar ze staruszki otrzymującej paczki od krewnych ze Stanów. Staruszka już nie chodzi, to się i nie zna na cenach. Należy jednak pilnować, żeby jej kto nie podszedł. Konkurencja też ma głowę na karku. I weszyc, do kogo jeszcze przychodzą paczki. Z pierwszej ręki towar najlepszy. Zakupiony na miejscu. Bo gdy ktoś z dostawców już sam zjawi się z propozycją, to znaczy, że obleciał już wszystkie możliwe stragany i wie na ile się cenią. Dobrze więc znaleźć kilka takich staruszek, najlepiej przykutych do łóżka. Takie, gdy potrzebują pieniędzy na lekarstwo, albo na trumnę — za psie pieniądze oddadzą towar.

Po kuchni wałęsa się babka. Między stertą wszędzie porostawianych garów, o które się wiecznie potyka, a kuchennym stołem, na którym też stoją garnuszki, szklanki z nie dopita herbata, śledzie i salaterki, grzebień i książeczka do nabożeństwa. Coś do odgrzania, do zmycia, do zjedzenia, przyszycia, odprucia... Jak zresztą w całym domu: portki zwisają z poręcz krzesła, suknia rzucona na tapczan, drzwi od szafy wiecznie otwarte, na szafie walizka, kaptcie wyglądają jednym okiem spod szafy, święty Józef na ścianie upstrzony z lekka przez muchy. W pokoju bryluje z wytartym zadkiem ośmioletni braciszek zabierany na czas lekcji przez babkę do kuchni.

Całość — poznawałem w niedzielę. Najwygodniej mi było w niedzielę mieć lekcje. Bo nie lubiłem niedzieli, nie miałem gdzie pójść w niedzielę. Po drugie — trzeba było raz w tygodniu zainkasować należność za lekcje. W sobotę mamy nie ma, tata też nieobecny. Zresztą w soboty pije i nawet gdy jest, to i tak go nie ma.

Lubi sobie popić. Mamunia też nie wlewa za kołnierz. Babka prychnie gniewnie, gdy pomyłkowo postawią przed nią mały kieliszek. A z największego nie może, bo chora na serce. Kolejki jednak nie przepuści.

Piją przeważnie „na okazję”. Z powodu imienin, wymigania się od podatku, świąt kościelnych i państwowych, urodzin i biłtwy pod Monte Cassino. I trochę... od czasu do czasu. Bez okazji.

Najlepiej się jednak pije z okazji Komunii. Zjeżdża wtedy ferajna ze wszystkich zakątków i zaczynają się religijne obrządki. Zdrowie komunikanta po raz pierwszy. Na drugą nóżkę. Babka dorzucała nabożeństwo, że Bóg trójcę lubi. Tatuś, że karetka ma cztery koła. Mowa, oczywiście, o tej niebieskiej, w osiołki. Komunikant podpowiadał z kąta, że i piątę nie zawadzi. Zapasowe, bo chłopak interesuje się samochodami. Gdy obleciały już „zdrówka” we wszelkich możliwych

kombinacjach, a wódy wciąż jeszcze było dużo, synus znów wynurzał się spod stołu i przypominał, że nie było jeszcze tup, tup, tup, czyli pijemy zdrowie naszym... pań. Taki był dowcipny, choć miał dopiero osiem lat i trudności z przejściem z klasy pierwszej do drugiej. Ale wyrównywał to towarzyskim obyciem i rozwijał się prawidłowo i bez kompleksów.

* * *

Udawało mi się zwykle oglądać to, co najmniej mi było potrzebne. Bo nie umiałem być tylko nauczycielem muzyki. Przychodząc do jakiegoś domu, choćby tylko na lekcje, zawsze się w niego wraża, na swój sposób staje się jego domownikiem. Najpierw ogląda się mieszkanie od jego odświetłej, urzędowej strony, później coraz wyraźniej już widać dziury w tapecie, odpryśnięty tynk, ruszające się w ścianie gniazdko wtyczkowe, które nie sposób naprawić, aby nie zawałala się ściana. Więc wszystko już tak musi pozostać.

Podświadomie Ignąłem do kawałka łyby, w której jest ciepło. Zwłaszcza, gdy na szybko rozsiada się mróz, za ścianą wiatr przedmuchuje na wyłot opustoszałe ulice i nie ma się dokąd specjalnie spieszyć.

Tak. Wiem, że odległe to wszystko od prawdziwej muzyki, ale melodia pobrękujących w kuchni garnków i nieforemny kawałek w piecu, z którego bucha jednak ciepło, też mają swoją intymną wymowę i w odpowiedniej porze roku można to także polubić.

Bo chłód zostaje za drzwiami. Wchodząca do pokoju handlarzka po mroźnej podróży ze Zgierza, zamienia się w pokoju w dodatkowe źródło ciepła. Tych trzydziści sześć i sześć kresek dudni w niej jak w kominie, taje baba od zewnątrz, odklejają się z twarzy wszystkie ostrości i na chwilę staje się człowiekiem, który wrócił do domu. Dopiero potem zaczynam dostrzegać obok niej te staruszki z zagranicznymi nadawcami, trzęsące się im ręce wyciągające spod łóżek odrapane walizeczki z ciuchami, które za wszelką cenę trzeba upłynnić. Któraś z nich podobna jest pewnie do mojej matki. Ona by sprzedała paczkę za jeszcze niższą cenę, za połowę najniższej ceny.

I w tym momencie odsuwam szklankę z nie dopita herbata, nie dostrzegam talerzyka z pokrojonym ciastem, nieforemny kawałek w piecu traci nagle całe swoje ciepło, o wiele przyjemniej orzeźwić się mroźnym powietrzem i pobiec z rękami w kieszeniach przed siebie.

Ale i tak tutaj wrócę. Trzy razy w tygodniu będę tutaj wracał. Mimo korowodu staruszek zastępujących mi drogę. Mimo niemrawych postępów dziewczyny, które to postępy nie mają większego ani mniejszego sensu. Ona i tak przecież nie nauczy się grać dobrze nawet kujawiaka. Nigdy nie będzie pewną czy postawiła właściwy palec na właściwym miejscu na strunie. Nigdy ucho jej nie odróżni prawdy od fałszu.

Ale dokąd mam pójść, skoro mi tutaj wszędzie po drodze? Należność wypłacają w gotówce, a posyłając z tego część mojej matce, splacam w jakiś sposób dług staruszkom. Może akurat nie tym, od których „szefowa” wydusza towar, ale w ogólnym rozrachunku na jedno to chyba wychodzi.



JERZY WAWRZAK

Weekend w mieście

Jest między nami mała przepaść i most zwodzony, Weroniko podchodzę do ciebie ostrożnie przez długi salon mroku mój szept, jak liść lakierowany leci przez deszczu zatokę pora roku na miłość jest niepewna. W świetle sierpnia ta uprzejmość niewytworna, gest króliczy, nie wystarczy. „miłość jest poza światem rzeczy, światem ludzi, poza wszystkim” — powiedziałaś słusznie.

któregoś wieczoru złożyłem jeszcze jedno zobowiązanie bez pokrycia tydzień nie miał końca, gwiazdy były jasne, cienie wysoko w złoconych ramach lustra świat gestów nieobliczalnych dwa koty niebieskie wiodły nas do pluszowego nieba snu zegar wybijał godzinę ostatnią bez opamiętnia, bez nadziei.

CENA MIŁOŚCI I POWRÓT DO KORZENI

Pierwsze wydanie tej powieści miało tytuł „Korzenie obok rzeki”, drugie natomiast „Cena miłości”. Prawda, to drugie wydanie jest znacznie rozszerzone i zmienione (zwłaszcza w ogólnych partiach opisowych), ale tytuł otrzymało banalniejszy. I niezbyt przystający do treści. Książka mówi bowiem — po dawnemu o wkorzenianiu się ludzi w nową dla nich ziemię i, jeśli coś w niej istotnie dominuje, to jest to raczej patologia samotności, zazdrości i nienawiści niż koszty miłości. Wątki erotyczne ogarniają tu ludzi jakby mimowolnie, przypadkowo, niczym w dziecinnej grze: „na kogo wypadnie, na tego bęc”.

Autor, przygotowując powieść do drugiego wydania, dokonał w niej zmian zmieniających do ujednolicenia całości. Ogólne opisy ograniczył, wprowadził za to sporo wycinków scen rodzajowych i bardziej wyeksponował sferę psychologiczną w rysunku postaci powieściowych. Wątek sensacyjny pozostał jednak w swoim poprzednim ujęciu, bo też bez niego powieść ta bardzo by schudła i trzeba by ją było na gwalt czymś innym podważyć. Zmiany, o których wspominałem, sprawiły przecież to, iż „Cena miłości” wiele zyskała na jednolitości.

Tym sposobem punkt ciężkości przesunął się z ekstropekcji na introspekcję. Akcja powieściowa została uporządkowana, a jej główne wątki — ograniczone do perypetii kilkorga postaci — stały się bardziej wyraziste. I wydaje się, iż dzięki temu doszły także do głosu właściwe dyspozycje pisarskie Romana Lobody: mianowicie dar przenikania i prezentacji uwarunkowań psychicznych pojedynczych ludzi i grup społecznych.

Przedmiotem analizy czyni Loboda zwykłych ludzi, ale owe szczególne dyspozycje poznawcze pisarza sprawiają, iż spod maski przeciętności bohaterów wydobywa on ich najróżniejsze powikłania wewnętrzne, z reguły odbiegające od przeciętnej normy.

Rytę Wolf pociąga w Tadeuszu Wojno „jego okrucieństwo. Tak, typ okrucień-

stwa skierowanego przede wszystkim przeciwko sobie. Masochizm psychiczny, wrodzony czy nabyty, uodporniający go jak szczepionka i skłaniający do rozwiązań krańcowych, gdzie ból i trągizm nie tylko że nie liczą się w ogólnym rachunku życiowych strat, ale przeciwnie — w pewnym sensie pomniejszają je (...). To jest właśnie okrucieństwo męczenników, ideologów, a często tyranów. Po wytrawieniu takim ogniem człowiek jest czysty i pozbawiony czułości aż do pozorów braku uczucia”.

Także doktor Karczewicz „od dłuższego już czasu z masochistyczną zaciętością niszczy swoje siły”. Ten to Karczewicz tak rozmyśla o swojej niepróżnoważnej żonie: „Histeryczki — myślał — to cudowne kochanki, siła, którą zniewalają, jest jak narkotyki. Siła ta byłaby potęgą, gdyby ograniczała się do zmysłów. Ale rany, które zadają i rozdrapują, nigdy się nie goją. Później te urazy narastają się i nie zmęczenie ciała, ale psychiczna udręka zatrzuwa owoce tego rajskiego ogrodu”.

Tej niemal naturalistycznej nieświadomości wiarygodności nie dostaje już w opisie mechaniki uzależnień społecznych, które — w powieściowym ujęciu Romana Lobody — ukazują się jako jakiś okrutny, nieprzenikniony kołowrót losu, pchający Bogu ducha winnych ludzi w krańcowe niebezpieczeństwa. Ludzie ci wplątują się w pozbawione racjonalnych uzasadnień okoliczności, i powiększają liczbę zagadkowych, przypadkowych postrzeżeń i zabójstw. I dopiero tego rodzaju przypadki uświadamiają pozostałym przy życiu fałszywość lub zacość obranej drogi postępowania. Tym sposobem każdy nieszczęśliwy zbieg okoliczności ma swój kształtujący, pozytywny finał.

Bolesne doświadczenie życiowe daje człowiekowi więcej niż np. ucieczka, rzecz bowiem w tym, aby — jak stwierdza autor — „klęskę przetworzyć w zwycięstwo”. Istotą działania owego ślepego mechanizmu doświadczającego ujmuje bodaj następujący fragment narracji po-

wieściowej: (Karasiowa) „Nie rozumiała na czym polegały różnice tych dwóch postaw, ale czuła, że obie są ostateczne i jeżeli jej syn (Zych) był ofiarą przyczyn sięgających aż prawie do lat dzieciństwa, to drugi (sublokator Tadeusz Wojno) stał się mimowolnym obiektem, w który skutki tych przyczyn uderzały”.

Wynika to zresztą z określonych założeń pisarza, które formułuje w powieści tak: „Ziemie Zachodnie stały się tygłem wartości narodu. Tu mnożono zdobycze i trwoniono je równocześnie. Tu wszystkie wady i zła — lety narodowe, wyolbrzymione i wyjaskrawione, drażniące i traperskie, krzyżowały się ze sobą. Wrastanie w nowe warunki życia wyzwalalo z ludzi wszystkie namietności, nie obywało się bez walki (...) tu, nad tymi rzekami rozgrywały się małe i wielkie tragedie człowiecze”.

Przygnębieni, boleśnie doświadczeni ludzie cierpliwie czekali więc na korygujące działanie czasu, niczym główny bohater powieści Tadeusz Wojno, który: „Czeka i jest mu dobrze z tym czekaniem. Narosło w nim przekonanie, że każda zmiana w jego życiu będzie nową, czarną galką, którą ktoś mu w dłoń wsadzi, a on nie będzie mógł jej odrzucić (...). Ma dość zdrowego rozsądku, by związać pewne wypadki i znaleźć ich logiczne przedłużenie”.

I znów odczuwa szczególnego rodzaju satysfakcję człowieka, który przeżywa niby nie swoje życie, nie panuje nad rozwojem wydarzeń, ale jasno widzi ich pragmatykę, koloryt, a na-

wet pasjonuje się nimi obliczając ich skutki, jakby kibicował przy partii szachów, w której jest czarnym i obłożonym królem”.

Wspomniałem na początku, że bliższy zawartości treściowej wydał mi się pierwotny tytuł tej powieści. O tytułowych korzeniach wspomina zresztą dwukrotnie autor w finale książki. Najpierw jest to refleksja głównego bohatera: „Więc na cóż mi ta moja samotność? Może ona jest tylko uświadomieniem korzeni, z których się wyrasta? Powrotem? Człowiek niepożądany chce być samotny, bo wtedy uzyskuje przekonanie, że jest niezastąpiony. Dno samotności przestaje być samotnością. Jest pycha”.

Myśl tę powtarza Wojno jeszcze raz innymi słowami w rozmowie z doktorem Karczewiczem: „Czasem trzeba wrócić do korzeni, skąd widać prawdziwe proporcje rzeczy i ludzi. Zdawało mi się, że wszystko, z czym człowiek przychodzi na świat, to konieczność przewartościowania życia. Teraz wydaje mi się, że nie jest wszystko. Może trzeba, przewyżając życie, konstruować je? Rozumiem, to są truizmy, ale do tego doszedłem”.

Jest to więc niezbędny, samouświadomiający powrót bohatera do korzeni swego życia niż cena miłości. Albo mówiąc inaczej — jest to rzecz gruntowniejszej refleksji niż spontanicznego uczucia.

Roman Loboda: „CENA MIŁOŚCI”. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1971 r., s. 223, 1 nrb.



POLONICA

ZBIOROWE WYDANIE DRAMATÓW WITKACEGO

SZTUKI WITKACEGO W USA

Od czasu wydania w Stanach Zjednoczonych tomu dramatów S. I. Witkiewicza („The Madman and the Nun and Other Plays”, 1968) stał się on najchętniej grany autorem na scenach teatrzyków studenckich. Zasluga w tym przede wszystkim profesora uniwersytetu w Nowym Jorku, Daniela C. Geroulda, tłumacza i wydawcy Witkacego, nieustrudzonego propagatora jego twórczości. Od lat swoje zajęcia seminaryjne poświęca on Witkacemu, kilku doktorantów pisze prace o dramaturgii autora „Szewców”, a sam Gerould przygotowuje monografię twórczości Witkiewicza i drugi tom przekładów jego sztuk. W grudniu 1970 na wydziale sławistycznym Uniwersytetu w Urbanie z inicjatywy Geroulda zorganizowano imprezę pod nazwą „Witkiewicz Festival”. Gerould wygłosił na niej odczyt o życiu i twórczości Witkiewicza, wyświetlono film polski pt. „Witkacy” (reż. S. Kozesz), otwarto wystawę prezentującą dorobek twórcy Witkacego, a miejscowy teatr studencki przygotował inscenizację „Kurki wodnej”.

Sztukę tę wystawił w marcu 1971 r. Towson State College Theatre w Baltimore w reżyserii Paula Bermanna i scenografii Marka Halpina. Ci sami twórcy na tej samej scenie wystawili w lipcu 1971 r. utwór „Mister Price, czyli Bzik tropikalny”, w którym świetną kreację stworzył zawodowy aktor Dwight Schultz. Do najchętniej granych sztuk należy „Wariat i zakonnica”. Premiera jej odbyła się w następujących teatrzykach: State University College Theatre w Stony Brook (Long Island) w kwietniu 1971, New York University Theatre (maj 1971, reżyser — Karl Weber) i Inner City Theatre w Los Angeles (czerwiec 1971). Można mieć nadzieję, że premiery te utworzą Witkacemu drogę na sceny teatrów zawodowych w USA.

W maju 1969 r. ukazał się w szwajcarskim wydawnictwie Le Cite (w ramach znanej serii „Teatr żywy”) pierwszy tom edycji wszystkich dramatów S. I. Witkiewicza. Całość obliczona jest na sześć tomów. Funkcję redaktora sprawuje młody sławista belgijski, autor monografii o Witkaciu, Alain van Crugten. Pierwszy tom poprzedził on obszerną przedmową („Le théâtre de Stanislaw Ignacy Witkiewicz”), dobrze wprowadzającą obcego czytelnika w problemy teorii i dramaturgii Witkacego. Tom ten zawiera cztery sztuki: „Sonatę Bełzebuba” i „Matkę” w tłumaczeniu van Crugtena oraz „Wariata i zakonnice” i „W małym dworku” w przekładzie Erika Vaux. W czerwcu 1970 r. wyszedł tom drugi, obejmujący „Szewców” i „Nowe Wyzwolenie” (tłum. E. Vaux), „Janulka, córka Fidejki” (A. Brzeźkowska) oraz „Szalona lokomotywa” (A. van Crugten). Na początku 1971 r. ukazał się tom trzeci, w którym znalazły się następujące utwory: „Pragmatyści”, „Gyubal Wahazar”, „Mątwą” i „Kurka wodna”. Wszystkie sztuki przetłumaczył van Crugten, a „Pragmatystów” poprzedził krótkim wstępem, wyjaśniającym tematykę tego dramatu. Pięknie rozwiązano graficzną stroną wszystkich tomów — z czarnego tła wyłania się twarz Witkacego, inna na każdej okładce.

Zbiorowe wydanie dramatów Witkacego mieć będzie na pewno obrzymie znaczenie dla recepcji jego twórczości za granicą. Do czytelnika francuskiego dociera wreszcie „prawdziwy” Witkacy — tłumacza bowiem w pełni są oryginałom i nie próbują tworzyć adaptacji czy trawestacji tekstów. Wydanie to jest niewątpliwie także ważnym wydarzeniem dla naszej kultury.

J. D.

POLONICA

Przeszłość i teraźniejszość

O powstaniu listopadowym na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej powiada się w nauce niewiele. Podkreśla się, jak to czyni np. S. Kieniewicz, że na Litwie był to „ruch chłopski i drobnoszlachecki, gdzieś tam antyfeudalny”, zaś na Białorusi i Ukrainie zostało ono poparte „wyłącznie przez średnią i drobną szlachtę”; „o pozyskaniu chłopów litewskich, białoruskich i ukraińskich nie było co myśleć bez postawienia programu społecznego”. Troje uczonych radzieckich, mianowicie W. A. Dżakow, W. M. Zajcew i L. A. Obuszkenkowa podjęli się statystycznej weryfikacji dotychczasowych sądów w tej sprawie i dokonał tego w obszernym studium „Skład społeczny uczestników polskiego powstania 1830—1831 r. w świetle materiałów z zachodnich gubernii Cesarstwa Rosyjskiego”, opublikowanej w zbiorowym tomie „Badania historyczno-socjologiczne”, który ukazał się nakładem Akademii Nauk ZSRR w Moskwie w 1970 r. Autorzy oparli się o przechowane w Centralnym Państwowym Archiwum Wojenno - Historycznym ZSRR alfabetyczne spisy uczestników i sympatyków powstania listopadowego z terenów Litwy, Białorusi i Ukrainy, sporządzone

z polecenia władz carskich i obejmujące ponad szesnaście tysięcy nazwisk. Statystyczna analiza tego przebogatego materiału doprowadziła do wniosków, które w istotny sposób wzbogacają naszą wiedzę o powstaniu listopadowym na tych obszarach i korygują do-

uczestników i sympatyków powstania (warstwy uprzywilejowane, przede wszystkim szlachta, daly tam 46 proc.), najmniejszy na Ukrainie, gdzie odpowiednio dane kształtują się 23 proc. i 74 proc., średni na Białorusi (36 proc. do 58 proc. przedstawicieli warstw wyższych). Dane te potwierdzają nasze dotychczasowe wyobrażenia o stosunkach, jakie panowały na Litwie, choć i tutaj nie zawsze

nie było ani wyłącznie polskim, ani wyłącznie szlacheckim”. Wraz z Polakami brali w nim udział także przedstawiciele innych narodów, wraz ze szlachtą — „wszystkie pozostałe stanowo-klasowe kategorie i grupy społeczne”. Aczkolwiek materiał statystyczny nie dawał informacji o przynależności narodowej zanotowanych w nim osób, z całą pewnością należy sądzić, iż „skład narodowościowy

nym ruchem chłopów i innych uciskanych grup społecznych.

Również w świetle opublikowanych w omawianym tomie badań N. P. Mitinej („Skład społeczny uczestników polskiego powstania 1830—1831 r.”), gdzie zostały wykorzystane spisy emigrantów i osób, które uniknęły represji władz, udział klas uciskanych w powstaniu i emigracji okazuje się większy, niż dotąd sądzono. Ich przedstawiciele stanowili — wedle opracowanego materiału — 34,5 proc. powstańców (klasy uprzywilejowane daly 63 proc.). Dane dotyczące wojskowych, którzy po powstaniu udali się na emigrację, wskazują, że aż 43 proc. tych ludzi stanowili szeregowcy i podoficerowie, w ogromnej większości wywodzący się z klas uciskanych. Na emigrację szli ludzie młodzi, 47,5 proc. liczyło do 25 lat, 81,5 proc. do 30. Z zestawienia, obejmującego ponad 4 tysiące osób (a więc blisko połowę całości polistopadowej emigracji) wynika, że blisko trzecia część stanowili chłopci, mieszczańscy, prócz żołnierzy i podoficerowie. „Tak znaczny udział w środowisku emigracyjnym przedstawicieli mas ludowych — kończy swe rozważania N. P. Mitina — wywarł niewątpliwie istotny wpływ na kierunki i rozwój polskich ruchów społecznych i rewolucyjnych w latach następnych”.

JÓZEF GRZELAK

Statystyka i historia powstań narodowych

tychczasowe sądy. Potwierdził się oczywiście szlachecki charakter ruchu: przedstawiciele klas uprzywilejowanych stanowią ponad 60 proc. walczących z bronią w ręku i ponad 56 proc. wspomagających powstanie, jednakowoż wyższy od spodziewanego okazał się udział reprezentantów klas uciskanych. Stanowili oni ponad 37 proc. walczących i ponad 26 proc. współpracowników powstania. Informacje te wskazują na większy, niż dotychczas sądzono, udział w powstaniu niższych warstw społecznych. Był on największy na Litwie, gdzie ich przedstawiciele stanowili 42 proc.

można było się spodziewać tak licznego udziału niższych warstw społecznych, w istotny zaś sposób zmieniają sądy o składzie powstania na Białorusi i Ukrainie. Okazuje się, że pomimo, iż miało ono na tych obszarach charakter wyraźnie szlachecki, przecież nie było poparte wyłącznie przez szlachtę, skoro uczestniczyli w nim chłopci i inni reprezentanci klasy uciskanej. Radzieccy badacze, podsumowując wyniki swoich studiów, podkreślili, że z opracowanego przez nich materiału wynika niezbicie, że „powstanie na Litwie, na Białorusi i na Ukrainie co się tyczy składu uczestników

uczestników powstania był mieszany, obejmował przedstawicieli wszystkich narodów zamieszkujących dane obszary”.

Nie oznacza to oczywiście, aby udział poszczególnych grup społecznych i narodowości był w powstaniu jednakowy. Miejscowy chłop i mieszczanin szedł do polskiego powstania nie dlatego, aby w pełni podzielał jego cele polityczne, lecz manifestował w ten sposób swoją wolę walki z panującym systemem. Ruch powstańczy — podkreślają uczeni radzieccy — sprężył się na Litwie, Białorusi i Ukrainie z antyfeudal-

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Oskarżyciel publiczny“ czyli przygwożdżona metafora

Nie zamilowanie do tematyki historycznej skłoniło Fritza Hochwaeldera do napisania tej sztuki. „Oskarżyciel publiczny” jest pamfletem — nie! raczej paszkwilem na rewolucję. Jako kanwę historyczną wybrał sobie autor okres terroru w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Pragnął jednak stworzyć utwór uniwersalny i ponadczasowy. Niby znak algebraiczny, w którego miejsce podstawić można każdą rewolucję, w każdej epoce.

Skoro zaś sztuka powstała mniej więcej w połowie XX wieku, łatwo domyślić się sensu tej algebry. Pod kostiumem XVIII-wiecznym ukryć chciał Hochwaelder istotny cel swego ataku: współczesne mu rewolucje. Co więcej, w podtekście doszukać się można znaku równości postawionego między słowami **rewolucja i terror**.

Przedstawienie łódzkie „Oskarżyciel publiczny” na Małej Scenie Teatru im. Jaracza*) jest prapremierą polską tej sztuki. Przekład jej ukazał się drukiem w „Dialogu” w 1959 roku. Długo — jak widać — zastanawiano się, czy wprowadzić ją na polską scenę. Ale wprowadzono. Dowodzi to jasno, że ponurych mroków, w jakie spowija Hochwaelder obraz rewolucji, nie zamierzamy przyjąć do siebie.

Terror spleta się istotnie z dziejami wielu rewolucji. Nie był jednak dla żadnej z nich programem, lecz obroną konieczną. Tak było i podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Pod nożem gilotyny spadło wiele głów zapiekłych wrogów wolności, jawnie lub skrycie spiskujących przeciw Republice stronników monarchii burbońskiej. Było to działanie okrutne, ale w walce na śmierć i życie trudno o humanitaryzm.

Utrzymywanie się przez długi czas terroru kryło wszakże w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Było to otwarcie krwawego rachunku, przedkładanego sobie następnie nawzajem to przez jedną to przez drugą stronę, za każdym razem powiększonego o nowe krzywdy, o nowe motywy odwetu.

Rozszalałe represje stwarzały okazję do nadużyć. „Terror stepił wrażliwość na zbrodnie, podobnie jak mocny trunek znieczuliła podniebienie” (cytat z pism pośmiertnych przywódcy jakobińskiego Saint-Justa zamieszczony w programie teatralnym). Ostrze gilotyny wykorzystywać zaczęto już nie przeciw wrogom Republiki, ale do rozgrywek w łonie własnego obozu. Usuwano w ten sposób z drogi osoby niewygodne, różniące się poglądami, współzawodników w walce o władzę i urzędy. Donosem do Trybunału Rewolucyjnego rozwiązywano porachunki osobiste, spory sąsiedzkie i majątkowe, nawet rodzinne. Paraliżująca fala strachu stworzyła atmosferę nieznośną. Terror oderwał się od rewolucji, stał się celem sam dla siebie.

Na tym tle wyrasta ponura postać głównego prokuratora przy Trybunale Rewolucyjnym Fouquier-Tinville'a, tytułowego bohatera sztuki. W osobie jego skupiły się jak w soczewce wszystkie objawy wynaturzeń, nierzetelności i okrucieństwa towarzyszącego krwawym represjom. Był wrzodem na ciele rewolucji, cynicznym karierowiczem, łapownikiem, sadystą, który pozorami działalności zgodnej z prawem legalizował zbrodnie. Otoczony powszechną nienawiścią pada wreszcie sam ofiarą tej gilotyny, na którą posłał setki niewinnych ludzi.

„Oskarżyciel publiczny” to sfaularyzowana historia upadku Fouquier-Tinville'a. Hochwaelder nadał jej charakter niemal sensacyjnej zagadki. Prawie do końca trudno przewidzieć z całkowitą pewnością, kto stanie na szafocie za sprawą pięknej Terezi Tallien. Fouquier-Tinville czy mąż Terezi, aktualny szef rządu termidoriańskiego. Nietrudno stwierdzić, że nie o dreszczyk sensacji chodzi autorowi. Kreśli on sytuację, z której nie ma dobrego wyjścia. Którykolwiek z tej dwójki padnie, pozostanie na placu drugi, równie nikczemny.

Hochwaelderowi wydaje się, że tworzy w ten sposób syntetyczny obraz rewolucji i że algebraiczny dowód na immanentne zło wszystkich rewolucji został przeprowa-

dzony. Jest to pogląd naiwny, wręcz dziecinny. Siły aluzyjności „Oskarżyciela publicznego” nie należy przeceniać. Autorowi udało się stworzyć utwór pasjonujący, o zrecznie zawężonej intrydze i bez pozytywnych bohaterów. Atmosfera sztuki jest duszna, a zakończenie nie przynosi oswojającego odprężenia. Ale założony dowód nie został przeprowadzony. Świątek Fouquier-Tinville'ów i Tallienów i ich otoczenia złożonego z lotrów, katów i szpicłów policyjnych zachowuje swój wymiar, nie może pretendować do rangi symbolu rewolucji. Nie jest odbiciem jej mechanizmu, lecz tego mechanizmu wynaturzeń.

Jan Maciejowski, realizując „Oskarżyciela publicznego” na Małej (nawet bardzo małej) Scenie, narzucił sobie poważne ograniczenia. Wpłynęły one jednak dodatnio na klimat przedstawienia. Ciasnota sceny, podkreślona jeszcze ciągłą zabudową dekoracji, odpowiada charakterowi intrygi, zamienia znak algebraiczny w konkretną rzeczywistość. Syn-teza wymagałaby przestrzeni. Zatrudzona starannie wykonanymi atrapami akt sądowych scenka jest dosadna i dosłowna w takim stopniu, by przygwożdżić nie najlepszą metaforę.

W tym przypadku dosłowność i zakotwiczenie w konkretnie historycznym zapisie należy na plus przedstawieniu. Pozwala bowiem uniknąć transmisji mętnej historiozofii autora na rzecz eksponowania interesującej intrygi. Efektem scenicznym tego jest jednorodność i precyzja przedstawienia.

Rolę Fouquier-Tinville'a może Stanisław Jaroszyński zaliczyć do wybitnie udanych. Operując oszczędnie środkami aktorskimi, częścię ściszącą niż podnosząc głos kształtuje postać plastyczną i pełną wymowy. Brutalność i pewność siebie prokuratora sygnalizuje nawet w chwilach, gdy przybiera maskę ugrzecznienia. Pełną dramatycznego napięcia i kobiecej determinacji Terezią Tallien była Mirosława Marcheluk. Aktorce nie udało się jednak odpowiedzieć do końca na pytanie, jakie motywy kierowały czynami Terezi, choć zemsty osobistej, czy pragnienie położenia kresu terrorowi. Może jest to zresztą wina tekstu.

Marek Bargielowski nie miał okazji do zademonstrowania swego głośnego już aktorstwa w małej wziętej roli Talliena. Podobnie rzecz się miała z Bogumiłem Antczakiem (Montané).

W epizodach wyróżnili się: Bolesław Smela (Sanson), Włodzimierz Kwaskowski (Héron) i Zdzisław Józwiak (Grebeauval). Przedstawienie pod względem aktorskim jest dobre i wyrównane. Może tylko niepotrzebne są gierki, którymi wykonawcy usiłują bawić publiczność już podczas końcowych braw. Chyba ten typ humoru wylamuje się z konwencji spektaklu.

*) Państw. Teatr im. Jaracza (Mała Scena): Fritz Hochwaelder „Oskarżyciel publiczny” (Der Oeffentliche Anklager) — sztuka w 3 aktach; przekład — Adam Tarn; reżyser — Jan Maciejowski; scenograf — Lucja Kosakowska; asystent reżysera — Marek Bargielowski.



SZKICE
JANA SPIEWAKA

Wydane w cztery lata po śmierci pisarza prace publicystyczne i krytyczne*), obejmują wybór z tego, co napisał on w okresie 1938—1967. Są to rozmowy i wywiady z pisarzami, szkice o pisarzach (głównie poetach) i recenzje z książek, a także ogólne rozważania o poezji. Po wydanych jeszcze za życia autora „Przyjaźni i animozjach”, tom ogłoszony obecnie dowodzi raz jeszcze, że Spiewak bardzo aktywnie śledził rozwój poezji polskiej i niejedno miał nam o niej do powiedzenia.

Jak to często bywa u poetów, kiedy zabierają się do pisania szkiców krytycznych, demonstrowają ujęcia klarowne i przejrzyste. I tak być powinno. Inaczej nie da się wyjaśnić tego, co z natury swej bywa niejasne. Książkę Spiewaka czyta się nie tylko z pożytkiem, lecz także z przyjemnością. Za najcenniejsze w „Pracowitych zdziwieniach” uznałbym wspomnienia o poetach dziś nieco już zapomnianych (Weintraub, Ginczanka), rozważania o poetach rosyjskich (Chlebnikow, Pietnikow) oraz o Czechowiczu.

Książkę zamykają uwagi pt. „Z przemyśleń recenzenta i czytelnika poezji”. Wiele tu cennych spostrzeżeń, które winny zainteresować zwłaszcza tych, co piszą wiersze. Oto jedna z uwag Spiewaka: „Może się myśle, ale wołaj nawet bolesną szorstkość i rubaszność od ładności. Poezja to nie jest „budowa pięknych zdań”, jak to kiedyś pisał Tadeusz Peiper”.

Wypadnie zgodzić się z Janem Spiewakiem.

JK.

*) Jan Spiewak: „PRACOWITE ZDZIWIENIA”. Szkice poetyckie, Czytelnik, Warszawa 1971, cena zł 30.

PRYGODY
KSIĘDZA BROWNA

Aż się wierzycie nie chce, że G. K. Chesterton* napisał te detektywistyczne nowele sześćdziesiąt lat temu! Ostatnio PAX dał Czytelnikom już czwarte wydanie przygód księdza Browna — i wciąż cieszą się one niezmiennym powodzeniem. Opowieści o mądrym i przenikliwym księdzu, rozwiązującym w lot kryminalne zagadki są oczywiście nieco odmienne od konwencjonalnych nowel detektywistycznych. Po pro-

stu znać pióro mistrza absurdalnego humoru, groteski, fantazji i paradoksu. Wspólną cechą tych nowel jest brak drobiazgowej analizy okoliczności przestępstwa. Chesterton raczej tworzy zagadki kryminalne, w których zaznaczone zostały najogólniejsze kontury sprawy i czytelnik musi sam poszukiwać owej jedynej możliwości rozwiązania.

„Przygody księdza Browna” zawierają wszystkie najbardziej charakterystyczne cechy pisarstwa Chestertona — inwencja w piętnięciu nieprawdopodobnych sytuacji, pure-nonsense'ny humor, mistrzowska gra słów... Można by rzec, że jest to literatura detektywistyczna w najlepszym stylu. Czy jest to jednak literatura detektywistyczna? Czy może po prostu świetna literatura o ludzkich losach i namietnościach, ubrana tylko w kostium kryminalnej zagadki?

J. W.

*) G. K. Chesterton „PRYGODY KSIĘDZA BROWNA”, PAX, cena 30 zł.

PISARZE
O CZYTELNIKACH

Otrzymałamy książkę, która odpowiada na pytanie: co pisarze sądzą o czytelnikach?). Jest to wynik ankiety, rozpisanej w swoim czasie przez „Tygodnik kulturalny” i poprzedzonej w wydaniu książkowym obszerną przedmową redaktora pisma — Stanisława Adamczyka. Książka zawiera wypowiedzi 23 pisarzy z różnych środowisk literackich naszego kraju. Autorzy dzielą się swoimi wrażeniami ze spotkań literackich, opowiadają o peregrinacjach po Polsce, snują swoje uwagi z rozmów z czytelnikami. Ogólny wydźwięk tych wypowiedzi pozytywny: spotkania autorskie są ważnym źródłem wiedzy o czytelnikach.

Szczerze mówiąc, bardziej by nas interesowało, co czytelnicy myślą i mówią o pisarzach. Pisze o tym w przedmowie Stanisław Adamczyk, ale to zaledwie dotknięcie zagadnienia. A gdyby tak rozpiąć ankietę wśród czytelników i potem owoce tej ankiety ogłosić w książce? Oczywiście musiałyby to być wypowiedzi szczerze, nie nacłagane, całkowicie autentyczne. Więc apel do redakcji „Tygodnika kulturalnego”: rozpiszcie ankietę, z której dowiemy się nareszcie, jak zachowują się i jak sobie radzą na spotkaniach z czytelnikami — pisarze. Będzie to z pewnością literatura pasjonująca, choć nie zawsze, jak należy się spodziewać, przyjemna dla pisarzy.

JK.

*) PISARZE O CZYTELNIKACH — Stanisław Adamczyk, Wydawnictwo Łódzkie, 1971, cena zł 15.

Karnawał w całej pełni. Nie od rzeczy będzie puczytać, jak to się bawili nasi przodkowie na publicznych balach, więc redutach. Cytowane teksty zostały wyjęte z trzeciego wydania Jędrzeja Kitowicza „Opisu obyczajów za panowania Augusta III” (Sasa).

Książka Kitowicza powinna leżeć w każdej polskiej domowej bibliotece. Niewiele kosztowała, ciągle jest cytowana. Niestety, wielu posiadaczy bibliotek domowych bardziej przepada za tak zwanymi ceglami, używając terminu księgarskiego, niż za dziełami otwierającymi czytelnikowi oczy i odykającymi zatkane szpary w mózgu.

Dopuszczmy jednak do głosu proboszcza, a zarazem rotmistrza Kitowicza. Spisywał on najdrobniejsze szczegóły obyczajowe swych czasów, w czym niestety nie dorównał mu żaden z polskich pamiętnikarzy. Z jego książki można się dowiedzieć, jakie były w modzie „gry szlenderskie”, ile groszy kosztował chleb z maseł na śniadanie dla czeladnika, jakie piwo pito w Piotrkowie (ze gielniowskie), a jakie w Lublinie (ze wachockie).

„Wielką estymacją cieszyło się w Wielkiej Polsce piwo grodziskie, tak iż szlachcic tam, który w swoim domu nie miał piwa grodziskiego, poczytany był za mizera i kurtwę. Tej estymacji przyczynili wiele doktorów, przynajmniej mu cnotę wod mineralnych”.

O REDUTACH

„Reduty zjawily się najpierw w Warszawie w średnich latach panowania Augusta III, odprawiały się tylko w jednym miejscu na całą Warszawę i tylko w zapusty, począwszy od Nowego Roku, aż do Wstępnej Srody, dwa razy na tydzień, we wtorek i we czwartek, wprowadził je i utrzymywał przez kilkanaście lat sam jeden tylko Salvador, Włoch rodem, mieszkaniec warszawski.

Ku końcu panowania Augusta reduty, samym tylko panom znajome, poczęły zwać się do siebie i pospółstwo, już jedno miejsce było dla nich małe, przeto pan Salvador dostał emulantów, którzy przykładem jego reduty w kilku miejscach pozakładali. Nie tylko zaś co do liczby, ale też co do czasu rozszerzyły się reduty; bywały pierwsze przez sześć tygodni przed adwentem, drugie przed wielkim postem w zaru jako się wyżej opisało; także żeby się do sytości ta zabawa ludzkie nacieszyli, przydano redutom więcej dni, więc bywały w niedziele, poniedziałek, wtorek, środek i czwartek, ledwo sobie swawolnicy dali czasu do wychłnienia przez piątek i sobotę.

Nie mieli także dosyć zabawiać się redutami na jednym miejscu, ale się przejeżdżali z jednych na drugie, placąc wszędzie nowe antre, czyli wchodne. Jeżeli zaś

ZYGMUNT FIJAS

to miał intencją powrócić na pierwszą reduty, z których wyjechał, to się opowiadał antreprenierowi i wziął od niego bilet, przeto powracając już nie płacił drugiego antre”.

ŁUDZIE PODLEJ KONDYCJI NA REDUCIE

„Nie godziło się wchodzić na reduty z bronią, także bez maski, czyli larwy na twarzy. Tę jednak osoby pierwszej rangi i szlachta, gdy chcieli, mogli jej nawet wcale nie kłaść na twarz, lecz dla zachowania postanowienia mogli ją przywiązać do ręki blisko ramienia albo zatchnąć za kapelusze lub czapkę; ponieważ maska na to tylko była postanowiona, żeby równość między kompanią za równe pieniądze cie-

Reduty

sząc się, bez zniewagi lub ujemy honoru czyjejkolwiek mogła być zachowana.

Człowiek podłej kondycji, jeśli się demaskował, tym samym wylaczał siebie samego od społeczeństwa z zaniejszymi, ale póki był pod maską nikt go nie mógł pogardzić i krzywdzić, choćby wiedział, że to człowiek podły, bez ścigania na siebie rygorów, choćby sądów marszałkowskich, pou których protekcją i za pozwoleniem dobrze opłaconym odprawiały się obyczajami swymi — właśnie jak prawami kardynalnymi obwarowane reduty. Szewc, krawiec i inny jakikolwiek rzemieślniczek, okryty maską hulał sobie równo z panami. Skoroby zaś zdjął ją i chciał się z kim gódniejszym spoufałić, natychmiast zostałby zafrontowany.

Na redutach po zapłaconym bilecie te dwie rzeczy służyły wszystkim w powszech-

HORACY SAFRIN

BYŁEM PEDAGOGIEM

Przynajmniej bez fałszywego wstydu: gdy Anno Domini 1941 objąłem w dziesięcioletniej szkole chutoru Kumiya posadę wykładowcy języka niemieckiego, byłem zgola niedoświadczonym bakałarzem. Złożyło się tak, że po opuszczeniu czelidnych murów wiedeńskiej wszechszkoły znalazłem się na deskach scenicznych i wytrwałem na nich do wybuchu drugiej wojny światowej.

Co prawda, w okresie przedwzrostowym przez niespełna pół roku zastępowałem polonistę, który dla poratowania zdrowia musiał udać się do Meranu. Ale już po upływie czternastu dni, podczas kolejnej „godziny wychowawczej” popełniłem — zdaniem grona nauczycielskiego — niewybaczalną gaffe. Odpowiadając na anonimowy rękopis dziewczęcy, wywołony ze „skrzynki zaufania”: „Czy mogę oddać się mężczyźnie, którego kocham?” — stwierdziłem po krótkim namyśle:

— Możesz... Ale skąd ta pewność, że go kochasz?...

Aby jednak nie pozostać przy gołolownym stwierdzeniu, dodałem doń obszerny komentarz o istocie seksu i różnych odmianach przeżyć erotycznych.

Ten oczywisty dowód mentorskiej niewiedzy przysporzył mi sympatii dwóch wyższych klas gimnazjalnych i niemalą kłopotów. Mój niefortunny występ stał się nawet przedmiotem rozważań komitetu rodzicielskiego, a kierownictwo szkoły wyraziło podobno życzenie, by prątkujący polonistą powrócił czym rychlej do zajęć lekcyjnych, ja zaś — do teatru.

Natomiast w Kumiydze, bylej koczkiej „stanicy”, rzecz miała się wręcz odwrotnie: dzięki przypadkowi udało mi się zjednać sobie grono nauczycielskie, alsi o życzliwość uczniów musiałem zabiegać długo i mozolnie.

A przypadek wyglądał następująco: W słotne, jesienne popołudnie zebrałiśmy się na naradę pedagogiczną. Koledzy pojawili się w komplecie, czekaliśmy jedynie na wielce niepopularnego dyrektora, Nikolaja Grigoriewicza.

Stojąc przy oknie pierwszy dostrzegłem jego sylwetkę, a że przyzwoltem sobie dopiero początki gramatyki rosyjskiej, huknąłem nieprawidłowo i to na cały głos:

— Dyrektor i-di-ot!

Chciałem, rzecz jasna, zapowiedzieć, że dyrektor idzie („idiot”), ale ten mój poślizg językowy spotkał się z huraganowym śmiechem i zgodnym okrzykiem:

— Prawilno! Prawilno! Prawilno!... Z Nikolajem Grigoriewiczem stoczyłem ponadto dwie ciężkie batalie: Wobec faktu nieznamości języka rosyjskiego zastosowałem — jak się potem okazało, z powodzeniem — metodę Berlitz’a, to znaczy: już na pierwszej lekcji przemówiłem do moich osłupiałych elewów w języku niemieckim. Akcentowałem dobitnie każde słowo, posługując się wyłącznie mimiką i gestykulacją.

Ten niesłychany wyskok ze strony cudzoziemca doprowadził naszego służbistego zwierzchnika do białej gorączki.

Po wtóre: opanowawszy jako tako arkana „ruskiej” mowy oznajmiłem dyrektorowi, że nie mam zamiaru uczestniczyć we współzawodnictwie szkół rejonowych, jeśli zaś chodzi o wyniki nauczania, będę stawiał moim wychowankom takie stopnie, na jakie rzeczywiście zasłuży.

A dyskusja rozgorzała wokół sprawy Bykowa.

Uczęszczając do siódmej klasy Bykow od pierwszej chwili sabotował lekcje języka niemieckiego. Spytany o przyczynę, odparł lakonicznie:

— Nie będę się uczył mowy naszego wroga!

Nie pomogły moje perswazyje ani płomienny apel, żeby narodu niemieckiego i jego literatury nie utóżniał z psychopatą Hitlerem. Chłopiec trwał uparcie przy swoim postanowieniu. Wobec tego pozwałem mu opuścić izbę szkolną i włączyć się po wiejskiej szosie. Jednak późną jesienią, gdy zaczęły się chłody, nasz nieletni malkontent nie zdradzał bynajmniej ochoty do całogodzinnych przechadzek. Tkwił na swoim miejscu, akompaniując mi głośnym ziewaniem i tupotem nóg.

— Bykow, uspokój się!
— Kiedy mi się nudzi!...
— To opuść klasę!
— Zimno...
— Nie zmuszaj mnie, chłopcze, do ostateczności!

— Ostateczność?... A czy wiecie, że w Kraju Rad obowiązuje Stalino-wska Konstytucja? U nas nie wolno bić! Ba, nie wolno nawet obrażać... Więc co mi zrobicie? Uśmiechnąłem się:

— Nie zamierzam ani bić cię, ani obrażać... A zrobię tylko to, co wolno!

To rzekłszy, chwyciłem młodziana pod obie pachy, unieśtem go w górę, a przeszedłszy z moim żywym balastem wzdłuż ławek, upuściłem go za drzwiami.

Klasa przyjęła ten mój wyczyn akrobatyczny rzesistymi oklaskami, a Bykow stanawszy ponownie na progu izby szkolnej wyraził swój podziw i szacunek dla mojej osoby jednym słowem:

— Molodiec!... Po tym pamiętnym epizodzie dotychczasowy adwersarz stał się moim zagorzałym zwolennikiem, uważał pilnie na lekcjach i zamknął bilans półroczny oceną „trójka z plusem”.

Czy w szkole chutoru Kumiya zdobyłem tak zwany autorytet? Trudno mi dziś, z perspektywy trzech dziesięcioleci, powiedzieć coś pewnego. Jedno natomiast zdaje się nie ulegać wątpliwości: byłem lubiany. Może dlatego, że w stosunku do młodzieży starałem się unikać surowych rygorów, uszczypliwych uwag i czczych moralów. Nigdy na mojej twarzy nie zjawiał się wyraz zgorszenia.

Pewnego dnia, po dzwoniącej gdy znalazłem się w pobliżu podopiecznej klasy, dotarły do moich uszu odgłosy pisków dziewczęcych i siarczystych razów. Po chwili mogłem przekonać się naocznie, że moje drogie „nastolatki” bawią się... w „salonowca”. Toteż przed rozpoczęciem lekcji, z powagą naukowca wyjaśniłem rozbawionym wychowankom obojga płci, że klapsy wymierzane z umiarem pobudzają obieg krwi, są zatem ze względów zdrowotnych ze wszelkich miar wskazane.

Jakżeż mogłem inaczej postąpić z klasą, która walnie przyczyniła się do mego nauczycielskiego triumfu? Dzięki zapoznaniu przez dyrektora metodzie Berlitz’a, wystąpiła na Olimpiadzie zespołów amatorskich z chóralną recytacją „Kaczy” Heinego. Moi uczniowie uzyskali pierwsze miejsce, a ja — chwalebna adnotację w „książeczce pracy”, którą po dziś dzień przechowuję w moim skromnym archiwum.

Olo krótki zarys mojej pedagogicznej kariery. Nauczyła mnie ona kochać młodzież i starać się ją, w miarę możliwości, rozumieć. Nauczyła mnie również przynikać oczy na pewne przejściowe objawy malkontentstwa, buntu czy pędu do „innosci” za wszelką cenę. Przemina te objawy, jak przemienie moda na młodopoleckie, niehigieniczne brody, bródki i bujne kędziory lub potworne „maxi” — płaszcz. Jeśli zaś mowa o dziewczęcej modzie „mini”, to muszę wyznać...

...że poza szkołą, a tym bardziej w szkole — od mini-mózgów — mini-kiecki wole.



JAN KOPROWSKI

TALENT SZCZEROZŁOTY: ŁAPA



Stanisław Lapiński jako Pan Damazy

Stanisław Lapiński, nazywany przez przyjaciół i sam siebie nazywający najchętniej Łapa, zmarł w 77 roku swego życia. Gdyby żył, powiedziałby z pewnością o sobie: mam dwie siołki, ciekawe jak długo jeszcze pociążę. Nie wszyscy — jak sądzę — zdają sobie sprawę z tego, że wraz z jego śmiercią odszedł ginący typ aktora, jakich niewiele już pozostało na polskich scenach. Należał do szkoły Aleksandra Zelwerowicza, o którym w „Naszej Scenie”, wydanej w 1961 roku z okazji 40-lecia swej pracy artystycznej, tak pisał: „Nieodwołany Mistrz Aleksander Zelwerowicz zaważył chyba najwięcej na moich poczuciach aktorskich. I jako profesor i jako aktor”. Lapińskiego podobnie jak i Zelwerowicza cechowały w jego wcieleniach scenicznych ciepło i bezpośredniość, intuicyjne, ale jakże w tej intuicyjności trafne, „odejrowanie” roli. Prostota i szczerść, pasja i zaangażowanie zniewalały publiczność. Gdy Łapa pojawił się na scenie, robiło się od razu jaśniej i serdeczniej. Zawiazywał się natychmiast kontakt między nim a widzami, którzy nie szczędzili mu braw i dowodów sympatii.

Łapa był przeciwnikiem drobniogłowych ustalen analitycznych w pracy nad przygotowaniem przedstawienia. Uważał (często nie bez racji), że te drobniogłowe „analizy stolikowe” dostaną w łeb z chwila, gdy aktor wejdzie na scenę i przystąpi do prób sytuacyjnych z partnerami. Reżyserów i kierowników literackich, którzy zbyt wiele czasu poświęcały słęczeniu nad egzemplarzem, nazywał „bibliotekarzami”. Oto jedno z jego znanych powiedzeń: „Co tam, panie, będziemy rozszcze płać wlos na czworo. Wejdz pan na scenę, zdejm marynarkę i pokaż, jak to się robi!”. Jego głęboka wiara w intuicyjne uchwycenie istoty roli i sceptycyzm wobec intelektualnej analizy miały w sobie coś pierwotnego. Łapa był jak dziecko. Jak wielkie, utalentowane dziecko, które obdarzone nadzmysłem, chwytwa w lot o co w danej sztuce i danej roli chodził. W sztuce liczy się przede wszystkim rezultat, mniej sposoby i drogi, do niego prowadzące. Rezultaty sceniczne Lapińskiego czyli jego role zapadały w pamięć widzów na długo, poruszały ich i wzruszały do głębi. Sarka-Farka w „Igraszkach z diabłem”, Miecichomuch w „Krakowiakach i góralach”, Pan Damazy w sztuce pod tym samym tytułem, Orgon w „Świętoszku”, Horodniczy w „Rewizorze”, Falstaff w „Wesołych kumoszkaach z Windsoru” i tyle, tyle ról Fredrowskich zapisały jego imię w historii sceny polskiej.

Lapiński — komik, rozśmieszający widzów do łez, marzył całe życie o zagraniciu postaci tragicznej. Miał kilka takich ról, upatrzonych dla siebie.

Ale nigdy ich nie zagrał. Zaden reżyser nie podjął się tego eksperymentu nie dlatego, by nig wierzył w siły i talent aktora. Istniała nieprzezwyciężona obawa przed publicznością, która ulubienica swego widziała zawsze w repertuarze charakterystycznym, komediowym i przychodziła „na Łapę”, aby cieszyć i radować się jego żywiołowym humorem.

Stanisława Lapińskiego znałem 40-letnie lata. Lubilem przebywać w jego towarzystwie i słuchać jego wspomnień i anegdot, którymi sypał jak z rękawa. Wiele było tych rozmów w bufecie Teatru Nowego, w jego mieszkaniu przy ulicy Narutowicza, w kawiarni. Posiadał znakomitą pamięć, obdarzony plastycznym darem narracji, umiał wyzwarować z przeszłości ludzi i zdarzenia. Pamiętam — opowiadał — moje występy w przedwojennym Kiliżu. Pan wie, jak wtedy było: aktor przechodził do teatru z własną garderobą w walizce, a przygotowania do nowej premiery trwały krótko, bo państwo nie dawalo pieniędzy tak jak dzisiaj i teatry były przeważnie w jakiejś ramocie i w drugim akcie, poniesiony szalonym gniewem, rozbijalem lampę natową. Wywoływało to za każdym razem salwy śmiechu na widowni. Ale też na każdy wieczór trzeba było kupować nową lampę. Intendent (taki dzisiejszy dyrektor administracyjny) zżymał się na te wydatki i wciąż wypytywał, a na co to, a po co i dlaczego. Tu mace, jak umiem, że to dla dobra sztuki, że ludzie pokażą ze śmiechu, że powodzenie itd. A on na to: „Panie, dwa lata temu graliśmy na tej scenie „Hamleta”, nikt nie rozbijał żadnej lampy, a żebyś pan wiedział, jak się ludzie bawili, po prostu pokładali się ze śmiechu”.

Łapa był wzorem punktualności i solidnego stosunku do pracy. Roll uczył się szybko, próby traktował poważnie, przychodził z własnymi pomysłami, które przedkładał reżyserowi do akceptacji. Reżyser raz się zgadzał, innym razem — nie. Ale przeważnie się zgadzał. Dobry reżyser organizuje pracę nad sztuką, ale nie powinien zanadto dyrygować. Im umiejętniej wlega aktorów do pracy, tym lepiej i dla niego i dla nich, a przede wszystkim dla sztuki. Łapa żył teatrem i w teatrze. Jak już nie mógł grać ról dużych, brał małe. Scena była mu potrzebna jak powietrze.

W swoim czasie podjęto próbę spisania wspomnień Stanisława Lapińskiego. Zajął się tym, o ile mnie pamięć nie myli, dr Stanisław Kaszyński i jego podopieczni. Jeśli im się to powiodło, ocealili od zapomnienia kawał żywej historii teatru polskiego. A jeśli nie? Stanisław Lapiński był jeden. Drugiego takiego aktora nie ma i nie będzie.

MOJE TRZY GROSZE

Starego wynalazku z randką w karecie dokonał miłośnik wdzięków Emmy Bovary, obwoząc ją po ulicach, o czym można się dowiedzieć z powieści Gustawa Flauberta „Pani Bovary”. Przenośne drewniane stolce na rączkach, jak dawne „kajfose” murarskie, czyli nosiki do przenoszenia zaprawy, na pewno jeszcze dziś można zobaczyć w niektórych nie zburzonych starych dworach, nie skanalizowanych.

Co do tak zwanej rozpuszki, to czasy Augusta III i Stanisława Augusta, nie doścignęły tej dzisiejszej swawoli obyczajowej na

Zachodzie, o czym pisano w jednym z numerów „Polityki”, a mówią wszyscy globtrotterzy, wracający z wycieczek z Holandii, Francji i Niemiec Zachodnich, przywożący z sobą pakiety pornograficznych pism, kolorowych fotografii, wobec których przedwojenna pornografia francuska czasopisma „Paris plaisiers” jest dziecinną zabawą dla tych, co „non possunt”.

Przedwojenną dorożkę i dawną karetę zastępują dzisiaj sznury takówek, stojące przed budynkami, w których odbywają się zabawy. Przypominam sobie przedwojenne krakowskie bale Prasy, na które zjeżdżały damy z całego Górnego Śląska, z Małopolski i całej Polski. Gdyby krakowskie domy akademickie umiały opowiadać stare dzieje, to by nazwisko niejednej dzisiejszej starszej magnifiki, ścigającej z tych balów do studenckich, kawalerskich pokoiów bez pomocy antreprenera musiały wymienić.

Na zakończenie tych moich trzech wtrąconych groszy oehładzający cytuję z dzieła Kłowiec:

„To tylko było w redutach, co się złym i niegodziwym nazwać mogło, lubo nie wypadalo z układu redut, ale szczególnym było wymysłem antreprenerów dla zysku swego. I nie miało placu, tylko w jednej Warszawie, gdzie obszerne palace dla redut najmowano. Inne wszystkie zabawy były uccziwe a i ta, co za kluczem, tylko z samej auspicyi za złą była osadzona”.

za króla Sasa

ności darmo: światło i kapela, resztę trzeba było sownie opłacić”.

WYGODY REDUTOWE, PODRYWKI

„Jedzącym, pijącym i tańczącym ażeby nie schodziło na niczym do wygody, blisko sali redutowej jeden był pokój, pełen na pawimencie stołów a na półkach urynaliów, gdzie goście składali ciężary natury”.

„Na złamanie wstydu młodzi ludzie mieli sposób: prócz salów i pokojów publicznych, dla całej kompanii otwartych, antreprenierowie zachowywali pokoje osobne pod swoimi kluczami. Kawaler umaskowany prosił o klucz do osobnego pokoju, dał za niego pięć, sześć i więcej czerwonych złotych powiadając, że chce na osobności wypić butelkę z przyjacielem lub w karty po-

grać. Antreprenier nie wchodził w roztrząsanie tego interesu — bo go dobrze rozumiał i był do niego ministrem — dawał klucz, kawaler osobę namówioną, pokręciwszy się z nią tam i sam na sali, niezacznie wprowadził do tego, do którego miał klucz, na który się zamknęli, i odprawili konferencyjną do kompanii wracali”.

„Drugi sposób do zażywania wstydlwej uciechy był takowy. Na dziedzińcu przed palacem redutowym stały karetę najemne przez całą noc dla odwożenia i przywożenia redutników. Kto tedy chciał ukraść cudzą żonę albo córkę na godzinę, sekretnie się wyniósł z nią z redut, czego w wielkiej kompanii dostrzec trudno było. Wsiadli do karety i albo się zawieźli do jakiegoś domu, z którego był kawaler lub dama, albo też kazawszy się wozie w karecie stangretowi po podległych ulicach, w niej się zje-

Nie wiem czy uwierzycie...

Na południu Europy

Najchętniej uprawianym przez instytucje i urzędy gatunkiem odpowiedzi na nasze artykuły jest metoda powtórzenia w piśmie „wyjaśniającym” tego samego co napisał autor artykułu. W tym stylu odpowiedź otrzymałam od dyrekcji Poczty na mój felieton „Jak zostałam kryminalistką”.

„Dyrekcja uprzejmie wyjaśnia, że placówka pocztowa odmawiając wypłaty renty zastępczo córce, postąpiła zgodnie z obowiązującymi przepisami. Biorąc pod uwagę, że placówki pocztowe mogą jedynie dokonać wypłaty przekazu rentowego do kwoty nie przekraczającej 500 zł. Jednocześnie stwierdza się, że górna granica dla sum przekazów rentowych (500 zł) wypłacanych zastępczo została ustalona przez ZUS i PKP (!!!).”

Dalej następuje opis całego wydarzenia, mniej więcej dokładnie tak jak w moim felietonie. I na koniec opinia dyrekcji o urzędzie nr 37.

„(..) Na podstawie prowadzonego dziennika podawczego reklamacji wpływających do Urzędu Poczтового Łódź 37, ustalono, że reklamacje przez ten urząd załatwiane są szybko i w terminie. Wypadków zaś późnego otrzymania renty z uwagi na zaginięcie przekazów należą do sporadycznych.”

Dyrekcja ponadto zauważa, że na pracowników Urzędu Poczтового Łódź 37 dotychczas nie wpłynęła żadna skarga na nieaktowne czy niegrzeczne zachowanie się. Personel w/w urzędu u swych władz zwierzchnich ma opinię dobrą, oraz uznanie za pracę, która wykonuje w myśl obowiązujących przepisów oraz, że dokładają starań dla właściwej i sprawnej obsługi osób korzystających z poczty.

Jednocześnie Dyrekcja uprzejmie powiadamia, że występuje do Ministerstwa Łączności, aby wpłynęło na kierownictwo ZUS i PKP w kierunku zmiany ich postanowień odnośnie ustalenia górnej granicy dla sum przekazów rentowych wypłacanych zastępczo. Dyrektor OPIT J. Gronostaj”.

W moim felietonie kwestionowałam dwie sprawy: przepisy dotyczące zastępczego wypłacania renty oraz zachowanie urzędniczki na poczcie. Z pisma dyr. Gronostaja dowiedziałam się w pierwszej sprawie tego, co sama wiedziałam i napisałam, a w drugiej, że na urząd nie było skarg i że pracuje w myśl obowiązujących przepisów ku zadowoleniu pt. klientów.

Jeżeli mnie nie zrozumiano, to wyjaśniam, że nie miałam pretensji do urzędu, który zatrudnia różnych pracowników, tylko do konkretnej urzędniczki, która jest nieuprzejma, w przeciwieństwie do swej koleżanki z sąsiedniego okienka, która jest zawsze miła i uśmiechnięta. Notabene w czasie ostatniej bytności na tej poczcie zauważyłam, że obie panie zamieniły się okienkami. Uprzejma usiadła na miejscu nieuprzejmej i odwrotnie. Być może jest to magia krzesłek lub biurka.

No cóż, należy się cieszyć, że dyrekcja wystąpiła przynajmniej o zmianę przepisów, zawsze łatwiej walczyć jest o zmianę tego, czemu się nie jest winnym. Nie wiem tylko co to jest PKP, mam nadzieję, że nie Polskie Koleje Państwowe, bo te mają ostatnio dosyć swoich własnych kłopotów, spowodowanych niespodziewanym nadejściem zimy.

A swoją drogą to wydaje mi się, (nigdy nie byłam mocna w geografii) że Polska leży jednak na południowych krańcach Europy. Bo o to pięć dni mrozu, nie takiego znowu kosmicznego, około dwudziestu stopni, i już pękają szyny, zamarzają pasażerowie w nieogrzewanych pociągach, które mają tę zaletę, że można nimi jeździć na gapę — konduktorzy nie pokazują się pasażerom w ogóle. Dezorganizuje się komunikacja miejska, pękają rury wodociągów, centralnego ogrzewania, wszystkie EC nie są w stanie dać mieszkańom dostatecznej ilości ciepła. Zupełnie jakbyśmy żyli w klimacie, w którym mroźna zima należy do kataklizmów — tak nie przewidywanych jak na przykład tajfun w księstwie Monaco.

I nagle homo homini lupus, instytucje powołane do reprezentowania i ochrony interesów obywateli przemieniają się w organa do walki z obywatelami. Na przykład administracje domów mieszkalnych, które usiłowały wmówić lokatorom, że mają zimno w mieszkaniach, bo nie opatrzyli okien. U mnie na przykład było 14 stopni, choć okna były nie tylko opatrzone, ale także zawieszono kocami. Natomiast na klatce schodo-

wej hulał wiatr, a szpary w oknach są takie, że sypie się przez nie śnieg. Ale kierownik ADM (Bałuty — 12) oświadczył, że klatki schodowe nie mają znaczenia, i że mamy się cieszyć, że w ogóle są szyby w oknach.

Stara to szkoła, sprzed wielu lat. Pamiętam jednego jej przedstawiciela, zaopatrzeniowca, który mawiał: „Groch nie świeży? W czasie wojny jedliśmy z robakami i było dobrze, a teraz w głowach się wam poprzewracało”. Ta szkoła dawno została już zamknięta, ale widać niektórzy ekstermiści psują się też światło. Psuje się każdej zimy od piętnastu lat, bo instalacja jest wadliwa, ale kierownik twierdził, że psuje się, bo lokatorzy włączają grzejniki elektryczne. Pewno, że włączają, i to jest właśnie dlatego, że nie mają co robić z pieniędzmi, które ponieśli na książeczkę PKO odejmowaną się włożyć jak się pomyśli zgodnie z nowym rozporządzeniem odsetki będą obliczane w wyznaczonym przez PKO i wygodnym dla tej instytucji terminie.

Oświadczam niniejszym, że nie czekam na żadne wyjaśnienia w odpowiedzi na ten felieton. Od PKO, że jest to zarządzenie ogólnopolskie i centralne; ani od MZBM, że na moją ADM nie wpłynęła jeszcze żadna skarga, bo pracuje w myśl przepisów i dokłada starań, a pracę ma ciężką i być może trudne dzieciństwo; ani od PKP, że ofiarne pracuje w obliczu obiektywnych trudności. Wiem, że wszystkim są winni pasażerowie, klienci, penetenci, lokatorzy, interesanci itd. Gdyby ich nie było, praca wszystkich urzędów i biur byłaby łatwiejsza i mniej nerwowa. Tyle, że urzędy byłyby niepotrzebne.

Na szczęście pan Sumliński z telewizyjnego Zwierzynka powiedział, że ptaki czują już wiosnę. A ptaki wiedzą lepiej. Zaś na wiosnę życie staje się piękniejsze, perspektywy jaśniejsze. Zwłaszcza w krajach południowej Europy.

TERESA WOJCIECHOWSKA

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- * J. URBANKIEWICZ — Dlaczego Łódź musi być brzydka?
- * J. HUSZCZA — Butelka czystej
- * W. PARNIEWSKI — Będę z wami, kiedy już nie napiszę oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

KINO, królestwo demona iluzji, oferuje jego usługi wszystkim chętnym w sposób zawsze bardzo szczytowy. Krok w przeszłość, krok w przyszłość, w marzenie, w szaleństwo — prosimy bardzo,

wszystko u nas jest możliwe. Chcąc szaleństwa, no to je macie, chcecie gwarancji, że będzie ono pełne, proponujemy Edgara Allana Poe. Firma doskonała, ale przecież do kina nie przychodzi się czytać Poeo. Damy wam zatem przewodnik



ków dobranych według zasady quodlibet. W efekcie Roger Vadim, Louis Malle, Federico Fellini wiedzą nas w szaleństwo, wyobrażone w sposób poetyczny i niesamowity przez Poeo przy biurku, a wielce dowolnie ucieleśnione na ekranie przez współczesnych opowiadaczy fabuły.

W istocie w „TRZECH KROKACH W SZALEŃSTWO” zasada quodlibet święci triumfy. Amatorzy seksu i erotycznych dwuznaczności napatrzysz się na niewątpliwie wdzięki Jane Fonda mogą sobie po noweli Vadima jeszcze spokojnie popatrzyć na nudną elegancję noweli Malle'a, którą okrasza na szczęście zawsze sexowna, a tym razem ogniste czarna Brigitte Bardot, po czym przed nowelą Felliniego wyjść z kina, bo właściwie nie już atrakcyjnego z tej dziedziny nie zobaczysz. Kogo interesują zawile sprawy metempsychozy czy rozdwojenia jaźni owych dwóch połów jednego „Ja”, niech raczej pójdą do biblioteki, bowiem Vadim i Malle wyprali nowelę Poeo nie tylko z ich zawitych znaczeń i atmosfery niesamowitości, ale nawet, co szczególnie widać u Malle'a, z fabularnego, literackiego pomysłu, jakim mogło być finalne uzmysłowienie jedności dwu Wilsonów. Z noweli Malle'a pozostaje w pamię-

ci doskonała po trosze instruktażowa szulerka, rozrywkowa karciana i płeć pani Bardot. Więc znów, co kto lubi. Biedny Poe!

Wydaje się zatem, że amatorzy jego twórczości nie powinni iść na ten film, bo i po co się denerwować. A jednak można nieco pocierpieć, by doczekać się Felliniego, noweli, która na pozór z Poem najmniej ma wspólnego, nawet o literackiej inspiracji trudno tu bowiem mówić. Wrażenie to jest jednak tylko pozorne. Diabeł twarz ma wprawdzie inna, debil pozostał jednak debilom, groza wyrasta z innych uktadów, głupota i szaleństwo jednak pozostało. Fellini znał zapewne niechęć Poeo do kolegów po piórze, a nikt dziś tak jak wielki Federico nie potrafił sztychli ze świata, w którym sam siedzi. Toteż nowela Felliniego jest nie czym innym, jak jeszcze jednym, znów doskonałym obrazem szaleństwa pewnych kręgów współczesnego świata. Znakomita, przejmująca karykatura środowiska ludzi kina, telewizji i wszelakich widowisk technicznie pulsuje grozą i niesamowitością, przemieszana z ironią, jakże bliska dalekiemu na pozór Poemu. W całym tym tryptyku jeden Fellini buduje atmosferę nie tylko anegdotą literacką,

choć operator C. Renoir w noweli Vadima też cuda obrazowe czynił. Szaleństwo u Felliniego zawiera się nie tylko w postaci Toby Dammity, alkoholika, narkomana i ofiary sukcesu, owo szaleństwo przenika wszystkie figury ludzkie tej opowieści, cały układ sytuacji zwykłych, wzdłużnych jednak w innym wymiarze, w wymiarze szaleństwa i głupoty. Obrazowe odrealnienie świata służy przejmującemu realizmowi spojrzenia. Piękne i mądre to kino Felliniego, skąd się wzięło w tej produkcyjnej spóźnie? W kinie, jak się na początku rzekło, wszystko jest jednak możliwe. Pytania o prawa autora muszą zawiśnąć w próżni wobec jego bezradności.

COZ może się zdarzyć „o wpół do jedenastej wieczorem, latem”? Tylko historia romansowa, albo zbrodnia, reszta na taki tytuł literacki nie zastępuje. Pani Marguerite Duras, popularna powieściopisarka francuska, znana u nas m. in. jako współautorka scenariuszy filmów „Hiroshima, moja miłość” Resnais i „Morderca cantabile” Brooka, tym razem swą powieść oddała w ręce Jules Dassin. Amerykanin Dassin, największy chyba wśród filmowców globtrotter, realizuje swe filmy wszędzie, we Francji,

Anglii, Grecji („Nigdy w niedzielę”) i bardzo różnie — raz kiepsko, raz dobrze. Wierny jest tylko zawsze swej żonie Mellinie Mercouri i podejrzewać należy, że scenariuszy poszukuje właśnie dla niej. W filmie „O WPÓŁ DO JEDENASTEJ WIECZOR, LATEM” zawiózł swą żonę w dobrym towarzystwie Romy Schneider i Petera Fincha do Hiszpanii i tam kazał jej przeżywać nieszczęścia romansowej alkoholiczki, która kochać umie tylko w cierpieniu. A więc zgodnie z tytułem filmu rzecz romansowa no i, oczywiście, pikantnie przyprawiona zbrodnia. Może by się i ta historia podobiała, bo któż z nas nie lubi takich emocji wzmocnionych hiszpańskim pejzażem, gdyby nie kiczowata realizacja całego zamiaru. Aż żal bierze, gdy widzi się, jak smutnym celem służy piękna fotografia Gabora Pogana, jego, jej zawdzięczamy jednak jakiś tam klimat opowieści, burzonoj przez nie za dobrą anegdotę literacką i jeszcze bardziej przez nią reżyserię. Na nieszczęście Mercouri, podobnie jak i jej mąż, miała różne okresy swego talentu, tym razem, jak zwykle wyraziście, ale niestety bardzo pretensjonalnie, gra ów przyprawiony smaczkami dramat kobiety czterdziestoletniej.

EWĄ NURCZYŃSKA

OBIEKTYW

HOLLY GOLIGHTLY W PODRÓŻY

Kazimierz Kutrz, którego nowy film „Perła w koronie” wkroczył właśnie triumfalnie na ekrany kin w całym kraju, wystąpił w Teatrze Telewizji Katowice z widowiskiem dużego formatu („Sceny z życia Holly Golightly” wg „Śniadania u Tiffany'ego” Trumania Capote; przekład — Bronisław Zieliński; adaptacja — Stanisław Dygat; reżyseria — Kazimierz Kutrz; realizacja TV — Tadeusz Ringwelski; scenografia — Jerzy Moskal; muzyka — Krzysztof Komeda-Trzciniński; oprac. muzyczne — Witold Ciechanowicz; premiera 31. I. 73).

Lista nazwisk długa i wśród nich szereg wręcz znamienitych. Spektakl ten należy też niewątpliwie zaliczyć do ważniejszych wydarzeń artystycznych w programie telewizyjnym ostatnich miesięcy. Jedynie też chyba wielkie i nowoczesne studio Telewizji Katowice na Bytkowie było w stanie pomieścić tak rozbudowane widowisko.

Za kanwę literacką posłużyło opowiadanie jednego z wybitniejszych współczesnych pisarzy amerykańskich — Trumania Capote. Kto zetknął się z tym subiektym, wrażliwym i niemal po kobiecemu kapryśnym subiektym, z ciekawością oczekiwać musiał jego ekranowej adaptacji. Tym bardziej, że adaptatorem był nasz z kolei wybitny prozaik, w którego finezji i lekkości stylu doszukają się można pewnych cech pokrewnych z Capote'm.

Holly Golightly, bohaterka opowiadania Capote'a, jest postacią uroczą, a jednocześnie zaskakującą swe otoczenie postępkami spontanicznymi i trudnymi do przewidzenia. Zadane rachuby w wypadku Holly nie mogły się sprawdzić. Nie ma w niej nic z wyrachowania, pedanterii, schematów myślowych. Wśród zjawisk życia jest jak rozbitek w miotanej falami łupinie. Nie jest dla niej stabilne, ani uporządkowane. Nie dziw więc, że na swej skrzynce do listów umieściła napis: „Holly Golightly — w podróży”.

Za specyficznym sposobem bycia Holly, za jej ekstrawagancjami i opowiadaniem, w których prawda wymieszana jest dokładnie z białą, kryje się dramat dziewczyny, daremnie poszukującej swego miejsca w samolubnym świecie, pragnącej miłości, dziecka. Na Holly patrzymy oczyma zafascynowanych nią i zakochanych w niej dwóch mężczyzn: narratorsa i barmana Joe Bella. To oni nadają żalostnemu szamotaniu się dziewczyny wymiar piękna i poezji.

Kutrz powierzył tytułową rolę w swym spektaklu Kalinie Jędrusik. Z myślą o niej również adaptował opowiadanie Capote'a Stanisław Dygat. Aktorka ta odegrała rolę Holly z wielkim rozmachem, tworząc postać konsekwentną w swej niekonsekwencji. Odpowiednio doznając napięcia dramatycznego, była przekonująca i wyraziście. Może tylko za mało akcentu położyła Jędrusik na wdzięku Holly. W lekturze bohaterki „Śniadania u Tiffany'ego” to sam urok. U Jędrusik przeważają akcenty oschłości, a nawet chwilami pewnej gburowatości.

Z innych wykonawców wyróżnić należy tak modnego ostatnio w telewizji Mariana Opanię (Autor) i bardzo ciepłego w tonacji Kazimierza Witkiewicza (Joe Bell).

Całość spektaklu starał się poprowadzić reżyser z filmową wręcz płynnością. Przechodzenie ze sceny na scenę przez zastawki fotograficzne przedstawiające widoki Nowego Jorku obliczone było na zapewnienie tej właśnie płynności. Na ogół to się udało. Niektóre jednak sceny były tak krótkie i o tak nikłej nośności informacyjnej, że można było z nich z korzyścią dla widownika zrezygnować. Tym bardziej, że trwało ono prawie dwie i pół godziny. A to chyba za dużo, jak na teatr telewizyjny.

Te zarzuty nie zmieniają jednak faktu, że w przypadku „Scen z życia Holly Golightly” mamy do czynienia z w. dowiskiem pełnym ekspresji, ambitnym i przygotowanym z niezwykłą starannością. W kronikach teatru telewizyjnego spektakl ten zapisze się z pewnością trwale.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

„DAWID I BATSZEBA” — ARCYDZIEŁO FLAMANDZKIEJ TAPISERII

W paryskim Grand Palais odbywa się niezwykła wystawa serii gobelinów,



które zostały wykonane w Brukseli, najprawdopodobniej między 1510, a 1515 rokiem. Od 1847 roku są one własnością Muzeum w Cluny. Seria składa się z dziesięciu tkanin, na których wyobrażona jest biblijna historia króla Dawida i Batszeby. Król jednego ze swych poddanych, dowódcę wojskowego Uriasza Hetejczyka wystąpił podstępnie na pewną śmierć, by zabrać mu żonę Batszebę (Beisabeę). Jahwe ukarał za to Dawida, gdyż zrodzony z Batszeby syn, umarł.

Seria gobelinowa „Dawid i Batszeba” składa się z dziesięciu tkanin, a nie są one bynajmniej małe. Każda z gobelinów ma osiem metrów długości i siedem i pół metra szerokości. Ze

względu na te duże rozmiary gobeliny nie były nigdzie wystawiane od 33 lat i dopiero teraz można je było pokazać w nowych, obszernych galeriach Grand Palais.

Flamandzkie dywany i gobeliny w XV i XVI wiekach były niezwykle cenne. Warsztaty tkackie w Brukseli pracowały dla papieża, królów i możnowładców. Seria zaś „Dawid i Batszeba” jest jedną z najwarteściowszych i najpiękniejszych jaka zeszła z warsztatów flamandzkich. Gobeliny te powstały w czasie przelomowym dla kultury europejskiej. Na północy Europy powstawały budowle, które nosiły jeszcze wszelkie cechy gotyku, gdy w Italii Odrodzenie było u szczytu swego rozwoju.

Zjawisko to ujawniło się i w serii gobelinów o Dawidzie i Batszebie. Oto przedstawiona na tkaninach architektura, budowle obronne, komnaty portretowane są jak w sztuce gotyku. Postacie ludzkie, ukazane w bogatych, faldzistych szatach, nie mają jednak należytej proporcji, są jakby ścięte, włożone w ramy powierzchni obrazu (a jest tych ludzkich postaci aż 600). Tu i ówdzie widać już jakiś kawałek naturalnego krajobrazu, co w średnio-wieczu nie byłoby możliwe, oraz niezłone przedmioty i szczegóły z życia codziennego. Martwa natura w formie łupów ze zdobytgo miasta, kunsztowne arabskie nad tronek Dawida, bogato rzeźbiona nisza, w

której obok króla zasiada Batszeba, z pletyzmem i dużą dokładnością odwzorowane meble i przedmioty codziennego użytku, uporczywie pojawiający się na gobelinach pies, a wreszcie sposób przedstawienia twarzy, na których częstokroć pojawia się radość życia, zaświadcza już o nowych czasach Renesansu.

Zdarzenia przedstawione są na gobelinach w ten sposób jakby rozgrywały się w którymś z ówczesnych miast Niderlandów, a ludzie poubierani są tak jakby przybyli z królewskich dworów krajów północnej Europy. Patrząc na poszczególne sceny rozumie się gesty ludzkich rąk, które są nawet bardziej wymowne niż twarze, choć i z twarzy łatwo jest wyczytać nastrój danej postaci.

Gobeliny utkane są z doskonałej wełny i jedwabiu. Nitki koloru złota i srebra dziś już są nieco spłowiałe. Dominującymi barwami tkanin są czerwień i błękit, które ciepłymi tonami odcinają się od neutralnego tła. Jaka jest historia tych przepięknych i bezcennych gobelinów?

Zamawiane były przez możnowładców by ozdobić ich sale, a równocześnie zawieszane na murach chroniły od zimna. Seria „Dawid i Batszeba” powstała prawdopodobnie na zlecenie regentki Niderlandów Małgorzaty Austriackiej. Prawdopodobnie też projekt artystyczny serii wykonał nadworny malarz

Jan von Roome. Warto nadmienić, że ówczesne cechy tkaczy przejmowały całkowitą odpowiedzialność za jakość i solidność wykonania, a po ukończeniu dzieła, stemplowały je swymi pieczęciami na znak gwarancji. Tkacze, pod surową karą grzywny, nie mieli prawa zmienić ani scen, ani wyglądu głównych postaci zaprojektowanych przez artystę, wolno im było natomiast komponować po swojemu, lub zmieniać tło i rozmałe szczegóły, jak roślinność, zwierzęta, przedmioty.

Takie gobeliny rozwieszane na ścianach z postaciami naturalnej wielkości i znajdującymi się niemal na tym samym poziomie co ludzie w komnacie, sprawiły wrażenie jakby żyły wśród ludzi, a ludzie wśród nich.

POWIEŚC HOTELARKI

W Ameryce nie dziwi już nikogo, że jakaś gospodyni domu pewnego dnia zasiada za biurkiem, aby napisać sensacyjną powieść, którą następnie odsprzeda dla Hollywood. Filmowcy zrobią z tego film będący zazwyczaj mieszaniną seksualizmu, życia „z wyższych sfer”, rewii i melodramatu. Mało jednak kto wie, że powieść, która zrodziła światową karierę „Die tiefgekühlten Mädchen” (Zamrożone dziewczyny) wyszła za mąż za hotelarkę z kantonu Valais (Wallis). Prawo do sfilmowania powieści wykupiło towarzystwo „Columbia-Pictures” w Hollywood. Autorka powieści nazywa się Ewa Défago. Urodziła się w Hamburgu, ale jest córką Szwajcarki mieszkającej w Zurychu. Matka pochodzi z Aleksandrii. Ewa ukończyła szkołę hotelarską w Szwajcarii i wyszła za mąż za hotelarza w Valais. Powieść, jedyną jaką Défago dotąd napisała, tłumaczona była na język francuski, angielski, norweski, fiński. Treścią powieści jest życie dziewcząt z całego świata, pochodzących z bogatych rodzin. Dziewczęta wychowują się w jednym z pensjonatów w Valais.

Ewa Défago kieruje swym hotelem w Champéry, prowadzi książkę hotelową, układa codzienne menu i dogląda prac personelu w kuchni i pomieszczeniach hotelowych. Ostatnio musiała przerwać swe codzienne zajęcia by ponownie zająć się swym dziełem. Udała się na dzieł tygodni do Hollywood i tam pod kierunkiem

producenta i innych filmowców pisała scenariusz swojej powieści. Jej gaża wynosiła podobno tysiąc dolarów tygodniowo. Mimo że towarzystwo zainwestowało już masę pieniędzy w przygotowanie ekranizacji, nie przystąpiono do nakręcania. Filmowcy nie mogą między sobą dojść do porozumienia czy powieść ma być sfilmowana w stylubędzie ich konsultantką.

MICHEL LEGRAND I CATERINA VALENTE

Wystąpienie Michela Legranda i Cateriny Valente w paryskiej „Olimpii” zostało przyjęte z entuzjazmem przez krytykę. Michel Legrand znany jest przede wszystkim jako kompozytor muzyki do filmów, m. in. do tak dobrze u nas znanego kolorowego obrazu pt. „Parasolki z Cherbourg”. Jest synem Raymonda Legranda, również kompozytora. Michel ma wykształcenie muzyczne. Mając lat 12 zdobył nagrodę Paryskiego Konserwatoriumu, mając lat siedemnaście zdobył następną. Akompaniował wielu śpiewaczkom i śpiewakom tańskim jak Catherine Sauvage, Juliette Greco, Salvador, Zizi Jeanmaire i Maurice Chevalier. W roku 1958 odbył tournée po Związku Radzieckim, gdzie zdobył sobie serca publiczności.

Caterina Valente jest śpiewaczką i tancerką. W



Michel Legrand i Caterina Valente

Bez strachu

DLACZEGO KOBIETA...

Dlaczego kobieta, która w domu, zwinna jak kołca, wspina się na okno i myje je, osiagając lekko najwyższe szczyby, stając nawet w sprzątaczym zapale na „drugiej stronie okna” na blaszanym parapiecie, dlaczego ta kobieta wsiadając na ulicy do autobusu stawia ostrożnie obie stopy na każdym stopniu, pełźnie do wnętrza jak kaleka, nie potrafi utrzymać równowagi w czasie biegu wozu, nie potrafi nawet usiąść jako-tako, przewraca się po prostu na skórzany fotel z determinacją w oczach. Dlaczego kobieta, która w domu ustawia na stole stolik, na stoliku stolicek, na stoliku krzesło i skacze po tej piramidzie omiatając sufity, niby jakiś zwiniwy, beczelony duszek, gdy przyjdzie jej wejść do łazienki, pełźnie do jej wnętrza na czworakach, panicznie obawia się drobnych nawet wstrząsów w czasie jazdy wozu, kurczowo trzyma się ramienia sąsiada, nie umie zatrzasnąć drzwi, ona, która w domu jest królową i mistrzynią odkurzaczy, elektrycznych fraterek i maszyny do wyściskania soków, w autobusie pozbawiona wszelkiej koordynacji poruszeń staje beznaieżną walką, doremnie pragnąc skasować bilet. Dlaczego kobieta, która w domu wyczuwa każdą swoją potrzebę, wystarczą, że pomyśli o poduszce, a podsuwa ci ją pod głowę, wystarczy, że przelkniesz ślinę, a przyniesie ci orzeźwiający płyn, otóż dlaczego ta sama kobieta nawet, kiedy idziesz z nią w odległości połowy metra, za trzaśnie ci niezawodnie drzwi sklepu przed nosem, co więcej — jeżeli przagniesz drzwi otworzyć, musisz się z nią rozpaczliwie przepychać, trzyma bowiem twarde drzwi od wnętrza, biorąc cię za wiatr czy oś podobnego. W kręgu rodzinnym stawia czoło każdej groźbie, zawstydzi męzczyzną odwagę, jednak z dżką trwoga ucieka przed napotkaną w polu myszką, co więcej — nie odróżnia myszki od żmii, od wilka, jest przekonana, że mysz ją ściga, aby pożreć, rozszarpać. Wszędzie poza mieszkaniem opatruje cię tysiącem nadrealistycznych przestrog. Kiedy wchodzi na jeden stopień: „uwaga!, tylko nie spadnij w dół!” (przecież tego dołu w ogóle nie ma. Aby spaść trzeba by przezwyciężyć prawo ciężarzenia). Latem w czasie upału ubiera cię w grube swetry, zwinnie podsuwa, korzystając z twego rozrządzenia, wełniane podkoszulki. (Abyś się nie przeziębił!) Idziesz ulicą i sam nie zdajesz sobie sprawy, dlaczego zalewasz się potem. Kiedy jesteście na wsi i chcesz pogłaskać na przykład ślimaka różowego prosiaczka, krzyczy z przerażeniem: „Ugrzył cię, ugrzył!” Nie wolno ci spojrzeć na studnię, ani na rzekę, „bo się utopisz”. Nie wolno ci przebywać w cieniu — przeziębisz się, w słońcu — dostaniesz udaru słonecznego, a także w miejscach pomiędzy cieńmi a słońcem — tam jest wiatr, zawieje cię, zostanie paraliżikiem. Dlaczego kobieta mówi zarazem tyle rzeczy mądrych i tyle niedorzecznych. Dlaczego kobieta...

gdyż przeważnie odbywa się na estradach wielu krajów Europy i w Stanach Zjednoczonych. Z pochodzenia jest Włoszką, ale urodziła się w Paryżu i do dziś zachowuje paryski akcent. Swoją pierwszą występowanie miała gdy liczyła zaledwie pięć lat. Później występowała jako tancerka i piosenkarka w małej grupie rodzinnej. Zna biegle cztery języki: francuski, niemiecki, włoski, angielski, słabiej: hiszpański i szwedzki.

Ostatnio występowała w Ameryce przez ekranami TV. Michel Legrand i Caterina Valente tworzą wspólny duet. Ponadto Legrand śpiewa sam to stojąc, znowu zasiada do fortepianu. Jednocześnie zaś na wielkim ekranie ukazują się fragmenty ciekawszych filmów ilustrowanych przez niego muzycznie i znanych niemal na całym świecie.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

POETYCKA DRUGA ZMIANA

TRZYDZIEŚCI TRZY WIERSZE — MĄDRY PATRON ZMW — DOKUMENT LITERACKI — SZANSA DLA DEBIUTANTÓW — WIERSZE DOBRE I ROZNE — WIZYTÓWKA GENERACJI

Mam przed sobą jednoarkusową broszurkę — do-datek do „Głosu Młodzieży”. Na kilkunastu stronach pomieszczono trzydzieści trzy wiersze młodych łódzkich poetów. Oczywiście nie jest to programowa prezentacja żadnej nowej grupy literackiej. Po prostu młodzi autorzy związani bardziej lub mniej ściśle z Korespondencyjnym Klubem Młodych Pisarzy wykorzystali szansę wydawniczą, jakie stwarza debiutantom ów prężny ruch kulturalno-artystyczny znany jako KKMP, działający pod patronatem

Związku Młodzieży Wlejskiej.

Jeśli już o patronie mowa, to wydaje się, że warto zwrócić uwagę na fakt, że jest to patronat bardzo taktowny, nie narzucający autorem administracyjnych założeń, nie formułujący jakichś programów artystycznych. To wcale nie takie częste zjawisko — ów czuły, wrażliwy patron, który nie komenderuje, nie żąda spełniania świadczeń, ale po prostu daje szansę.

Zwłaszcza w wypadku autorów młodych, wchodzących do literatury, owa wrażliwość i takt patrona-

ckich władz ZMW ma ogromne znaczenie. Nieco upraszczając — patron wcale nie żąda, aby młodzi spod znaku KKMP pisali o wsi na zadany temat. Po prostu ruch kulturalno-artystyczny Związku Młodzieży Wlejskiej chce umożliwić debiutantom start. I czyni to z powodzeniem.

Czerwona broszurka prezentująca goetów łódzkich jest już 37 publikacją tego rodzaju. KKMP od lat wprowadza w świat literatury wciąż nowych autorów.

W przedmowie do Arkusza Jacek Kajtoch pisze: „Łódzki ośrodek KKMP należy do najstarszych, najbardziej zasłużonych i do dzisiaj najaktywniejszych w kraju. Warto szczególnie zwrócić uwagę na dwa kierunki jego działalności. Mianowicie na uwiecznione pewnym rezultatem wysiłki zintegrowania środowiska literackiego i plastycznego oraz podejmowanie problematyki wpływającej z konfrontacji warsztatu artystycznego i nowoczesnego przemysłu”.

W poetyckim Arkuszu publikują swoje wiersze — Dorota Chrościelewska, Mirosław Kuźniak, Janusz

Mieszczankowski, Rafał Orlewski, Feliks Rajczak, Kazimierz Świegocki i Ryszard Marian Wójcik.

W tej bardzo różnorodnej prezentacji poetów są autorzy tomików i debiutanci nieznanymi, są tam wiersze piękne i dojrzałe, głębokie i wstrząsające, są także utwory nieporadne i blade. Ale razem jest ten skromniutki arkuś poetycki bardzo znaczącym dokumentem literackim. Świadectwem nadchodzącej „drugiej zmiany” poetów — po pokoleniu „Współczesności”, po „Orientacji Hybrydy”... Zasluga KKMP i Związku Młodzieży Wlejskiej jest niewątpliwie fakt wprowadzenia na arenę owej „zmiany” bardzo ciekawych, bardzo utalentowanych poetów.

Nie chcę wystawiać cenzurę, natomiast recenzowanie trzydziestu trzech wierszy siedmiu autorów, nie byłoby możliwe w krótkim felietonie. Może więc warto ograniczyć się do opinii redaktora Arkusza, który zwraca szczególną uwagę na możliwość poetyckiej Doroty Chrościelewskiej, Mirosława Kuźniaka, Feliksa Rajczaka i Kazimierza Świegockiego.

Tę opinię Jacka Kajtocha przepisywać z czystym sumieniem, bowiem właśnie ta czwórka poetów wyróżnia się zdecydowanie w omawianej publikacji. Tak się zresztą składa, że właśnie o tych poetach pisałem w innym miejscu i przy innych okazjach, reprezentując podobne co Kajtoch stanowisko.

Podobne, nie znaczy takie samo. Tak więc nie uważam, aby miłośne liryki Kuźniaka były ciekawsze od jego gorzkiej liryki obywatelskiej, przeciwnie, właśnie w tym rodzaju widać dla jego twórczości dalszą drogę. Nie gorszy mnie także katastroficzna wyobraźnia Świegockiego, przeciwnie, w tej wyobraźni tkwi siła jego wierszy.

Ale w końcu rzecz nie w subiektywnych sądach, o takim czy innym aspekcie twórczości młodych poetów. Ważne, że czytelnicy poezji otrzymali — skromną bo skromną — wizytówkę „drugiej zmiany” młodzieży literackiej. Dokument, że po nas nie potop, ale następna generacja, nowe wiersze, nowe obszary wyobraźni. Tak jest i tak być powinno.

JERZY WIDOK

BERNARD SZTAJNERT

EDGAR WALLACE

POLOWANIE NA SKARB

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

STAN Brides był właśnie zajęty swymi porannymi ablucjami, gdy do mieszkania wpadł jego przyjaciel i kompan więzienny.

Brides, mężczyzna gruby i masywny, z czerwoną twarzą, przestał się wycierać i zerknął spona! ręcznika.

— Co ci się stało? — zapytał szorstko. — Wyglądasz jakby cię wyrzucono z pracy. Dlaczego wyszedłeś tak wcześnie?

Lew opowiedział o swej wizycie u Reedera i jowialny humor jego gospodarza znikł natychmiast.

— Idiota! — zaszczał. — Atakować tego człowieka! Tę jadawitą żmiję! Czy nie pomyślałeś, że on cię oczekiwał? Czy naprawdę wierzysz, że nie wiedział dokładnie o godzinie, w której opuściłeś więzienie w Dartmoor?

— W każdym razie nastraszylem go.

Brides roześmiał się szyderczo. — Zrobiłeś z siebie odważnego głupka. Przestraszyć tego starego wygę? Ależ gdyby naprawdę chciał cię zastrzelić byłbyś już martwy...

Zapukano do drzwi. Obaj spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

— Kto tam? — zapytał Brides. Usłyszał znany głos.

— To ten widok gadającej z Scotland Yardu — szepnął Brides i otworzył drzwi.

Wszedł sierżant Allford, który miał opinię obiecującego detektywa.

— Dzień dobry, chłopcy! Nie byłes w kościele, Dan?

— Jeszcze nie. — Dan uśmiechnął się przytomnie.

— Jak twoje sprawy, Lew?

— Dość dobrze. — Falszerz banknotów miał się na baczność.

— Przeszedłem do ciebie po rewolwer, ten cały automatyczny, Ko 432-31. Nie dobrze Lew, nie powinienes nosić z sobą rewolweru.

— Przystęgam, że nie mam żadnego rewolweru.

Brides przestraszył się, także i on był więźniem wypuszczonym warunkowo o trzy lata wcześniej i znalezienie broni w jego domu groziło odsiedzeniem całej kary.

— Czy chcesz pójść do Centrali, czy też pozwolisz zrewidować się tutaj?

— Proszę mnie zrewidować

tutaj — rzekł Kohl i podniósł ręce do góry, gdy sierżant obmacywał go od stóp do głów.

— Rozejrzę się jeszcze po mieszkaniu — rzekł policjant. „Rozglądanie” się było naprawdę wyczerpujące.

— Chyba jakaś pomyłka — stwierdził Allford. A potem nagie zapytał: — A co tam wrzuciłeś do rzeki, gdy siedziałeś teraz do domu?

— Łupinę banana. — Kohl był szczęśliwy, że Allford nie pytał dalej.

Brides zaczęła aż policjant przejdzie na drugą stronę ulicy, potem wściekle skoczył do towarzysza.

— Sprytny, o jaki jesteś sprytny! Ten stary szpicel wiedział, że miałeś rewolwer, a nawet znał jego numer. Gdyby Allford znalazł go wykończyłby nas obu!

— Wrzuciłem broń do rzeki — szepnął nachmurzony Lew.

— Radzę ci, zostaw Reedera w spokoju, to jest demon, a jeżeli tego nie widzisz, jesteś głuchy i ślepy. Tyś go „nastraszyl”? Ach, ty idioto!

— Nie zauważyłem, że mnie śledził. Ale go jeszcze dosięgnę, razem z jego pieniędzmi!

— Ale zrobisz to z innego domu — rzekł lakonicznie Brides. — Złodziej, czy nawet zbrodniarz — to nie przeszkadza mi, ale widok gadającej i chwającej się małpy przyprawia mnie o mdłości. Wynoś się z mojego domu!

Tak więc się stało, że Lew Kohl przeniósł się na ostatnie piętro pewnego włoskiego domu na Dean Street i tu miał dość czasu, żeby snuć dalsze projekty zniszczenia swego nieprzyjaciela, znalezienia ukrytego skarbu...

Minął prawie tydzień i wreszcie Reeder udał się do prywatnego sanktuarium swego szefa. Ten, jak zafascynowany, słuchał teorii swego podwładnego na temat Jamesa Tirmite i jego zmarłej żony.

— Dziwny człowiek — rzekł z lekka politywany — zastanów się! Przecież to niemożliwe, że bym ci wydał nakaz aresztowania baroneta na podstawie twoich przypuszczeń. Nawet nie mogę zezwolić na rewizję domu. Twoja historia jest fantastyczna i nadaje się do noweli kryminalnej, a nie do raportu

Ministerstwa Spraw Publicznych.

— Noe była burzliwa, a lady Tirmite nigdy nie czuła się pewnie na morzu — sugerował nieśmiało Reeder. — O tym fakcie należy przypomnieć.

Szef potrząsnął głową. — Nie mogę tego zrobić, za mało dowodów. Wywołałbym piękelną wrzawę, wyrzuciliby mnie z posady. Czy nie może pan działać nieoficjalnie?

— To bardzo trudne — rzekł Reeder. — Moja częsta obecność w tanych stronach została zauważona. Myślę, iż trudno byłoby ukryć moje... manewry. A jednak znalazłem już miejsce i mogę je wskazać z dokładnością do kilku centymetrów...

Szef znów potrząsnął przecząco głową. — Nie, mój drogi — rzekł spokojnie — wszystko opiera się jedynie na pańskich dedukcjach. Przeczenia pan tego baroneta. Nic tu się nie da zrobić!

Reeder westchnął i wrócił do swego biura. Lecz wkrótce w jego działaniach pojawił się nowy element.

Był kilka razy w Maidstone i zauważył, że nie pojechał sam. Chodzi za nim cień — Lew Kohl. Początkowo przeżył moment lęku, że jego eksperyment może się nie udać.

Lecz za trzecim razem wpadła mu do głowy pewna myśl, prawie jak oświecenie! O mało nie roześmiał się głośno, gdy pewnego wieczora, po wyjściu ze stacji wziął taksówkę i zobaczył, że Lew Kohl bierze drugą a następnie posuwa się jego śladem...

★ ★ ★

Brides siedział przy stole i ćwiczył się w układaniu tali kart w ten sposób, żeby as kier był ostatnią kartą.

Nagle ktoś szarpnął drzwiami i do pokoju wpadł jak wicher jego dawny sublokator z rozplonionymi oczyma.

— Mam go! Jest mój! — krzyknął triumfalnie Lew Kohl.

Brides odłożył karty i wstał.

— Masz, ale co? — zapytał chłodno. — Jeżeli planujesz zabójstwo, to możesz nie odpowiadać, lecz otwórz drzwi i wynoś się stąd!

— Nie ma mowy o zabójstwie! Lew opadł zmęczony na fotel. Uśmiechał się.

— Od tygodnia tropię Reedera, no i opłaciło się. — To powiedziałszy zrobił dramatyczną pauzę.

— A więc? — zapytał zniecierpliwiony Brides.

— Znalazłem jego skarpetkę! — Naprawdę? Trudno mi w to uwierzyć.

Lew przytaknął.

— W ostatnich czasach Reeder często jeździł do Maidstone, a stamtąd do miejscowości odległej jeszcze o kilka kilometrów. Tam go zawsze gubiłem. Ale wczoraj wieczorem, gdy wrócił na stację, wsunął się ukradkiem do poczekalni, a ja znalazłem miejsce, skąd mogłem go obserwować. No i jak myślisz, co zrobił?

Brides nie ośmielił się na żadne sugestie.

— Otworzył walizkę — rzekł Kohl ważnym tonem — i wyjął z niej paczkę banknotów taką wysoką! Pobrał pieniądze ze swego banku osobistego, ze swojej „skarpetki”!...

Pojechalem za nim do Londynu. Na stacji jest restauracja, wszedł tam i wypił kawę. A ja wciąż obserwuję go z ukrycia. Przy wyjściu z restauracji wyjął z kieszeni chusteczkę, aby wytrzeć usta i nie zauważył, że wypadł mu na ziemię notes. Ale ja widziałem! Trząsałem się ze strachu, żeby ktoś tego nie zauważył, ale wszystko poszło dobrze. Masz!

Brides wzięł do ręki mocno zniszczony notes.

— A teraz powiedz, czy zgadzasz się przystąpić do tego interesu ze mną na 50 proc.? Potrzebuję pomocnika.

— Jeżeli to będzie tylko kradzież, przystępuję — odpowiedział Brides.

— Czysta i łatwa kradzież... prawdziwy poemat! — zachwycił się Kohl.

Prawie całą noc gwarzyli półgłosem omawiając skrupulatność rachunków J. G. Reedera i jego nieuczciwość. Mieli w ręku ważny dowód...

Noc poniedziałkowa była wilgotna, dał wiatr i sypały się liście z drzew, gdy Kohl i jego towarzysze przebiegli pieszo drogę od stacji do posiadłości Jamesa Tirmite. Pod płaszczem Kohla odznaczała się torba z arsenałem narzędzi, a kieszenie Brides'a były pełne różnych wytrychów.

W drodze nie spotkali nikogo. Dzwon kościelny wybił godzinę 23, gdy Lew przeprował się za ogrodzenie portierni. W jego ślady poszedł Brides. Z daleka widać było opuszczoną portiernię. Zbliżyli się do drzwi. Po dziesięciu minutach zamek był otwarty.

Znaleźli się w małej, niskiej izdebce, gdzie jedyna ozdoba był głęboki kominek bez krat. Lew, przed zapaleniem latarki, zakrył okno płaszczem. Potem zaczęli badać kamienne płyty w podłodze.

— Jest tu ślad, każdy by go zauważył! — rzekł Kohl. — Spróbujmy razem unieść tę płytę na środku podłogi.

Gdy odsunęli kamień na bok, ukazał się w głębi ciemny otwór. Lew pochylił się nad nim i rzucił promień światła latarki.

— Boże mój! — krzyknął.

Za chwilę obaj przerażeni mężczyźni uciekali w kierunku bramy. Prawdziwy cud — brama była szeroko otwarta, a przed nimi rysowała się jakaś ciemna sylwetka.

— Ręce do góry, Kohl! — krzyknął znajomy głos.

Wystraszony Kohl o mało nie uścił Reedera...

★ ★ ★

Tego wieczora, aż do północy sir James Tirmite omawiał ze swą narzeczoną kwestie majątkowe. Nagle bez pukania wszedł

kamerydner, a za nim oficer policji i Reeder.

— Czy pan James Tirmite? — zapytał oficer, chociaż znał dobrze baroneta.

— Tak, pułkowniku, co się stało? — zapytał Tirmite.

— Aresztuję pana pod zarzutem rozmyślnego zamordowania pańskiej żony lady Eleanor Mary Tirmite...

★ ★ ★

— Wszystko opierało się na ustaleniu, czy lady była dobrym marynarzem — wyjaśniał Reeder swemu szefowi. — Jeżeli nie znosiła podróży morską, nie pozostałaby na statku ani pięciu minut sama, bez przywołania pokojówki. Tymczasem ani pokojówka, ani żadna inna osoba nie widziała lady Eleanor na pokładzie, z tej prostej przyczyny, że jej tam w ogóle nie było! Została zamordowana w swym domu, a ciało pogrzebano w starej portierni dworu Ellford.

Sir James Tirmite pojechał autem do Dover, kazał tragarzowi zanieść bagaż do kabiny, a

A. S.



Fot. A. Wójcik



Lewym okiem

GAUDEAMUSI...

Ludzie, nie mający dorastających dzieci, oraz ludzie, którzy sami właśnie nie dorastają, nie pamiętają o tym, że luty jest miesiącem studniówek. Za sto dni odbędzie się egzaminu maturalne, teraz jest więc pora na tradycyjną szkolną zabawę, po raz pierwszy trwającą do rana, z tańcami i balowym nastrojem.

Jest wielka grupa młodzieży, która przed takim lutowym stańczyła już nogi po lokalach i prywatkach, zakosztowała różnych aspektów nocnego życia, prześlizgnęła gruntownie i do końca niejedną flirt, posmakowała wielu gatunków win i nie tylko win. Dla niektórych członków tej grupy studniówka to dziecinna gra w komórkę do wynajęcia, godna politowania i pobłażliwego uśmiechu. Nie takie już się rzeczy przeżyło! Mimo wszystko jednak ta tradycyjna wieczornica pozostaje dla wielu dziewcząt i chłopców jednym z symboli wchodzenia całym zespołem w inny czas w inny etap; całym zespołem, z którym żyło się blisko przez wiele lat, a nigdy nie miało się okazji tak właśnie zahulać zbiorowo do rana! Oficjalnie, instytucjonalnie!

Pamiętacie trochę ekliwy, ale bardzo chwytający za

serce film — „Ję pierwszy bał”? Po wielu latach ta piękna sala, świetna orkiestra, światła, nastroje — okazują się zwykłą drewnianą tancbudą, obwieszoną serpentynami, w której rzepli zespół miejscowych, prowincjonalnych amatorów. Ale to nie ma znaczenia, ważne jest to, co w pamięci, a w pamięci pierwszy bał siedzi długo i uparcie, i dobrze że tak jest, i tak trzeba, żeby się stara uśmiechnęła do wspomnienia, żeby się stary ożywił, żeby miał trochę takich numerów w zielniku swoich wspomnień.

Patronują studniówce rodzice i patronują panie wychowawczynie. O panach nie mówię, panowie w tej branży stanowią znikającą już mniejszość. Rodzice niepokoją się o strój dla córki, żeby była w nim ładna i żeby był „na linii”. Panie wychowawczynie ze swej strony nie mogą się zdecydować, jaka właściwie ma być ta linia?

Wysokie ciało pedagogiczne uchwała pewnego dnia, że dziewczęta mogą sobie zaprosić partnerów. Małgosie i Bożenki puszczają w ruch wyobraźnię i rozpamiętują w długie wieczory nad algebrą lub wiedzą obywatelską, czy Andrzej będzie tym razem pasował, czy Wojtek nie zainteresuje się aby Baśką, bo oni już wtedy coś do siebie, i jaka szkoda, że Marek jest noga w tańcu. Pomalu obraz zaczyna się klarować, te bardziej nieśmiało przypominają sobie dalekich kuzynów, te śmielsze piszą listy do najbliższych koszar lotnictwa, gdy ciało zmienia front: klasę mamy korekcyjną i możemy się bawić we własnym gronie, nikogo zapraszać nie wolno. Co trzecia abiturientka zwiessa nos aż do trzeciego guzika, a studniówka traci połowę kolorów. Potem jest ukaz, że broń Boże w długich sukienkach maxi. To nie do pomyślenia, żeby taka sobie pamiątka odgrzywać zaczęła Ritę Hayworth i powłóczyła brokatami po szkolnych scho-

dach. Krawcowe zatrzymują maszyny i wyjmują szpilki z ust. Nie ma co się śpieszyć. Ojcowie wdychają, bo wydatek już był, a teraz okaże się, że o trzy metry kupiło się za dużo.

Następny ukaz podnosi temperaturę niepokoju: nie ma mowy o mini, ani o wyciętych plecach, ani obciętych rękawach. Zaprosić można, ale kolegów z własnej szkoły. Rozejść się.

Z własnej szkoły — to znaczy nie tylko z własnej klasy, ale i tych młodszych. Cóż za dyshonor dla panny! Wstyd przed całą klasą! Tańczyć z rówieśnikiem, lub — co gorsze — z szesnastoletnim chłopcem, który mówić potrafi tylko o markach samochodów i o meczach bokserkich? Abiturientki są bliskie buntu i marszu na kuratorium. Na szczęście ktośś ze starszych pań przypomina sobie, że przecież aż do ostatniej klasy licealnej zabrania się młodzieży zabaw tanecznych, nie tylko całonocnych, ale w ogóle zabaw. Od szeregu lat nie ma w szkołach wieczorków tanecznych poza studniówkami. Jakże więc teraz uczniów z młodszych klas dopuścić do tego zakazanego dla nich regionu? Wróć, odwołujemy. Nie wolno zapraszać.

Ostatecznie wynikałoby więc, że studniówka będzie, ale bez studentów, bez wojskowych, bez mini, bez maxi, bez młodszych chłopców i bez starszych chłopców. Muszą być natomiast rękawy w bluzek.

Telefony wiecznie zajęte. Bluzki kroją się trzeci raz od nowa. Uczciwego granatu na spódniczki zabrakło już w MHD. Nie ma to, jak być mężczyzną, nie? Pójdziem se, koleś, popatrzeć, siądziem w kącie, będziemy żuli gumę i dzielili się uwagami. Cóż to — studniówką nas chcą zbajerować?

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badzak (dział terenowy), Konrad Frejlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 98, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 197. D-4.